

OSTATNIE OFIARY STALINIZMU W POLSCE W OKRESIE STANU WOJENNEGO 1981-1983 I ICH OBRÓŃCY

**Wywiad z Wieńczysławem NOWACKIM
przeprowadzony przez Grzegorza Kaczorowskiego
w Robakowie k. Poznania, dn. 4 maja 2008 roku**

Nazywam się Grzegorz Kaczorowski, jestem ankieterem Fundacji KOS, która prowadzi badanie zatytułowane „Ostatnie ofiary stalinizmu...” i „Ocalmy od zapomnienia.” Celem badania jest zebranie świadectw osób będących ofiarami represji w okresie 1945 – 1989, ze szczególnym uwzględnieniem okresu stanu wojennego. Ponieważ nasza praca ma charakter dokumentacyjny, nasza rozmowa będzie rejestrowana za pomocą dyktafonu oraz kamery.

Czy mógłby się Pan przedstawić?

Wieńczysław Nowacki.

Gdzie i kiedy się Pan urodził?

2 października 1951 roku w Śremie, tutaj w Wielkopolsce. Natomiast moi rodzice, Józefa i Jan Nowaccy, wywodzą się z obecnego województwa Świętokrzyskiego, konkretnie z kieleckiego, jak to się kiedyś mówiło, z Kongresówki. Ja byłem najmłodszym synem, urodzonym już tutaj w Wielkopolsce, ale rodzice, zarówno matka jak i ojciec, wywodzili się z wielodzietnych rodzin chłopskich z centralnej Polski. Ojciec np. wywodził się z rodziny, w której było ośmioro rodzeństwa, z której - można powiedzieć - wykształcił się najbardziej, łącznie ze swoją siostrą Michaliną Nowacką. [Oboje] podjęli pracę nauczycieli. W okresie przedwojennym, jak wiadomo, żywił polski potrzebował nauczycieli na wschodzie, czyli na obecnych terenach Ukrainy, [ale] i na zachodzie, bo była kształtowana państwowość polska dopiero po 18-tym roku. Moja ciotka najpierw została skierowana do pracy jako nauczycielka na tereny obecnej Ukrainy; to była wtedy, jak to się mówi, Wielka Polska, natomiast ojciec w latach 30-tych został skierowany do pracy tutaj, na tereny Wielkopolski.

I tutaj się poznali z matką, ponieważ mama również została skierowana do pracy tu na terenie Wielkopolski. Tu zawarli związek małżeński. Urodziłem się w takiej wsi Borówiec, położonej 3 km stąd. Tutaj się wychowałem. Mam starszą siostrę Bożenę. Duch pracy społecznej i politycznej niewątpliwie został [mi] zaszczepiony od najmłodszych lat. W tym duchu patriotycznym byłem wychowywany, ponieważ rodzice pracując w szkole, bardzo często opowiadali, komentowali w domu to wszystko. Natomiast ojciec, można powiedzieć, [dla niego] historia była na porządku dziennym, dosłownie na porządku dziennym.

Od początku, jak pamiętam, swoje zetknięcie z jakąś świadomością, jako młody chłopiec, kojarzy mi się to ciągle z różnymi opowiadaniem ojca, który w okresie okupacji oczywiście ukrywał się. Jego koleje losu były takie, że nie został wywieziony do Rosji i nie został stracony, ale razem z matką w okresie okupacji ukrywali się, ale nie tu,

tylko właśnie na terenie tam kieleckiego. Poza tym ojciec działał jako łącznik w Armii Krajowej i stąd te liczne opowiadania różnego rodzaju z różnych przygód, jakie miały miejsce, a były to najczęściej przygody o charakterze konspiracyjnym. Ale myślę, że tego ducha konspiracyjnego, można powiedzieć, wyssałem też z mlekiem właśnie matki, jak to się mówi.[a od] ojca przede wszystkim [przejąłem ducha] tego żywiołu pracy społecznej i myślenia politycznego; od ojca, który wszystkie sytuacje aż do wieku 18 lat (kiedy to wyprowadziłem się z domu) anarchizował, komentował, i można powiedzieć wspólnie to było przeżywane w domu. Ojciec jako nauczyciel nie zawsze otwarcie prezentował swoje poglądy, to też była cecha dość charakterystyczna. Matka jako kobieta w zasadzie żyła tylko tymi codziennymi sprawami. Oboje byli nauczycielami i mieszkaliśmy cały czas na wsi. W tamtych latach przedwojennych (ja oczywiście urodziłem się w 51. roku, [więc] tego nie pamiętam, ale już z historii wiem) to się nazywało typową placówką. To byli ludzie z korzeni polskich, chłopskich, z dziada pradziada (mój dziadek też był chłopem), i którzy się wykształcili z ludzi rdzennych, wywodzących się ze wsi, z ziemi itd., i potem służyli Polsce w sensie pracy społecznej, politycznej, nauczania. W takim duchu się wychowałem. [Jak wspominałem] moja rodzina wywodzi się z kieleckiego. Bezpośrednim dowodem zażyłości z tą rodziną jest mój brat cioteczny Roman Nowacki, którego Pan przed chwilą poznał, który teraz mieszka tutaj, pomaga mi, a właściwie, mogę wprost powiedzieć, ochrania mnie. Może to dziwne słowa, które wypowiadam, że taka ochrona jest mi potrzebna, ale to może później wyjdzie w dalszych wywodach.

Przejdźmy do drugiego tematu. Pytanie dotyczące Pana działalności społecznej i opozycyjnej do stanu wojennego. Czy należał Pan do jakichś organizacji społecznych (młodzieżowych lub kościelnych)?

Należałem tylko do tych, które zrodziły się z opozycji w stosunku do systemu komunistycznego. Nie należałem do żadnych ugrupowań systemu komunistycznego: ani politycznych, ani młodzieżowych, ani żadnych innych, mimo że na przykład [gdy] chodziłem do szkoły [zdarzył się] taki epizod w technikum łączności (tutaj w Poznaniu): w tym czasie cała klasa się zapisała do Związku Socjalistycznej Młodzieży, no i chyba tylko ja i jeszcze jeden kolega w klasie był taki, którzy się nie dali[śmy] zapisać. Z tego powodu oczywiście już zwracałem na siebie uwagę. W szkole zwracałem uwagę przede wszystkim tym, że [poszedłem] do szkoły rok wcześniej. Rodzice uznali, że widocznie już powinienem chodzić do szkoły i zacząłem szkołę w wieku 6 lat. Stąd zawsze do lat dojrzałości chodziłem do szkoły z rok starszymi. Ten kontakt z tą rzeczywistością komunistyczną, PRL-oską, pierwsze zdarzenia tego typu, że się nie zapisałem do Związku Młodzieży, mimo że cała klasa się zapisała, zwracały na mnie uwagę. No a że też, jak to się mówi, człowiek miał gębę niewyparzoną, no to i te przygody się dość wcześnie zaczęły. Moja edukacja skończyła się na poziomie pierwszego roku studiów, którego już tu w Poznaniu nie zaliczyłem. To były lata 70-te. Natomiast mój pierwszy kontakt z tzw. rzeczywistością milicyjną nastąpił już w 68 roku, kiedy to ojciec odbierał mnie z komendy milicji. Złapano mnie na demonstracji, związanej z 68 rokiem w Poznaniu. Od tego czasu już byłem rejestrowany, mimo że to wtedy nie zaliczało się do jakiejś przynależności. Niemniej później wyraźniej już to odczuwałem. Następnym takim etapem, taką przygodą, była praca podjęta w telewizji poznańskiej, związana z moim kierunkiem ukończenia szkoły średniej (technikum łączności o specjalizacji radiowo-telewizyjnej). To jest moje wykształcenie średnie. W związku z tym, że nie mogłem już kontynuować tych studiów, podjąłem tę pracę i dwa lata przepracowałem w Komitecie d/s Radia i Telewizji w Poznaniu, w studio poznańskim, jako operator i realizator dźwięku. To cały czas procentowało moją postawą polityczną i środowiskową wśród młodych ludzi. Takie znaczące już represje przeszedłem w 1974 roku, kiedy to w

zorganizowanej grupie młodzieży z tego terenu (nie tylko z Poznania, ale i ze wsi) mieliśmy taką ciekawą pracę powiedziałbym o charakterze wolnościowym. Dla nas ważne było przede wszystkim poczucie wolności, niezależności od tego systemu, który dla nas był systemem zniewalającym. W związku z tym, że już nie mogłem pracować w Komitecie ds. Radia i Telewizji, w zorganizowanej grupie woziliśmy bydło. Istniały takie przedsiębiorstwa – Przedsiębiorstwo Obrotu Zwierzętami Hodowanymi. W tym czasie Polska w ramach współpracy europejskiej eksportowała bardzo dużo mięsa i żywca na Zachód: do Francji, do Włoch, do Niemiec: konie, bydło, buhaje. Najwięcej tego żywca szło do Włoch. W ten sposób Polska spłacała licencję Fiata, jaką wtedy Gierek, jako dobry stan, sprowadził nam do Polski. Świetna praca, ponieważ to była praca na umowę zlecenie. Polegała ona na tym, że nadzorowało się zwierzęta przewożone w wagonach kolejowych. Transporty szły na granicę niemiecką, ale najczęściej tego bydła było przewożone przez granicę czeską, w Zebrzydowicach i na przejściu granicznym w Międzylesiu. Trzeba było dotransportować to bydło do punktu granicznego. Odpowiadało się za nie. Była cała dokumentacja, którą się posiadało. To była praca, można powiedzieć, śmierdząca, bo jak wiadomo bydło było przewożone w wagonach kolejowych. Była to praca stała, niemniej takich specjalistów było bardzo mało. Po prostu się w jakichś sposób wyspecjalizowaliśmy w tej grupie młodzieżowej i stanowiliśmy obsługę większości takich konwojów, jakie były wysyłane z poznańskiego, z wrocławskiego, z Krakowa, z Pomorza, ponieważ byliśmy znani z tego, że jesteśmy grupą solidną. Byliśmy bardzo cenieni przez tych specjalistów, którzy dokonywali załadunku, wydawali dokumenty. Ogromne zaufanie mieli do tej naszej grupy. Myśmy żadnej jakiejś takiej nazwy organizacyjnej wtedy nie przyjmowali. Mieliśmy miejsca, mieszkania wręcz, w różnych większych miastach, no i jak się jechało z konwojem lub jak się wracało, to bardzo często było tak, że w tych mieszkaniach żeśmy się spotykali: czy w Poznaniu, czy we Wrocławiu, czy nawet w Krakowie. I tam najczęściej odbywały się dyskusje jak najbardziej polityczne, filozoficzne i różnego rodzaju. Te mieszkania funkcjonowały, znane były już milicji. Taki epizod właśnie z życia nastąpił: takim mieszkaniem tutaj niedaleko dworca poznańskiego przy ulicy Matejki było mieszkanie Marka Grzesia (tak się nazywał ten jeden z naszych kolegów). Pewnego pięknego dnia w 74 roku siedziało nas tam w mieszkaniu 8 osób. Okazało się, że ktoś, jakiś informator usłużny, poinformował [o nas] Służbę Bezpieczeństwa i zapukało dwóch milicjantów w mundurach. Weszli do tego mieszkania i stwierdzili, że to jest zebranie polityczne, i przy pomocy pałek wszystkich nas wzięli na komendę Milicji Obywatelskiej, chcąc nas postawić przed kolegium za zakłócanie porządku. Wtedy takie kolegia [wlepiali] pod różnymi pretekstami. To się nazywało, że to są kolegia tzw. „trybika”: nim się ktokolwiek zorientował, czy rodzina, czy ktokolwiek inny, to już człowiek siedział w pace i wychodził po trzech miesiącach. To był taki specjalny rodzaj kolegium dla tego rodzaju ludzi, których potem się nazywało włóczęgami, hipisami itd. Wtedy ostatecznie ta akcja się nie udała, ponieważ mieliśmy już zawsze opracowany plan praktyczny, że obojętnie gdzie byliśmy, czy w Poznaniu, czy w trakcie tych konwojów, transportów, to zawsze w takich sytuacjach poruszaliśmy się grupowo. Mieliśmy dokumenty, które upoważniały nas do poruszania się po terenach kolejowych, w związku z tym byliśmy zmartwieniem dla SOK-ów. Ale w związku z tym, że te transporty odbywały się w wagonach kolejowych, nie było na nas rady. Liczne raporty, liczne monity Służby Bezpieczeństwa, Milicji Obywatelskiej, SOK-ów, zderzały się z tą rzeczywistością prawdziwą, z tym zaufaniem inspektorów POZH, którzy uważali, że jesteśmy najlepszymi konwojentami, solidnymi, rzetelnymi, że zawsze można nam powierzać [to zadanie, i że] z odpowiedzialnością ten żywiec jest dostarczany na granice. No i tak było i tym razem, jako że milicjantów było dwóch, a nas było osiem osób, w prawdzie wśród nas były dwie dziewczyny, które nie były konwojentkami, no ale akurat jak to zwykle bywa – nikt z nas wtedy nie żył w celibacie –

więc zgodnie z planem jednemu z nas udało się uciec. Po prostu ci milicjanci w trakcie schodzenia z klatki schodowej i przechodzenia na posterunek Milicji Obywatelskiej tutaj w Poznaniu nie zorientowali się, [że] jeden uciekł. [Ten] oczywiście powiadomił Komendę Wojewódzką i prokuraturę. [W ten sposób] nie udało się nas pozamykać. Niemniej zostaliśmy pobici: najpierw tam w mieszkaniu i to dość poważnie, zwłaszcza właśnie te dziewczyny, ale i my też; [ale] również na komendzie nim nastąpiła ta interwencja, tzw. z góry, [nakazująca] że należy nas wypuścić. Wtedy postanowiliśmy, że wszyscy zrobią relację z tych zdarzeń, i że to jest w ogóle bezprawie i w ten sposób nie można dopuścić, żeby milicja postępowała. Ustaliliśmy wtedy, że z tej grupy dwie osoby podpiszą listy otwarte w oparciu o relacje wszystkich osób. Było to szalenie obiektywne. Myśmy bardzo dbali, żeby to wszystko spisać obiektywnie, całe to wydarzenie. Dwie osoby: niejaki Krzysztof Kijewski, i ja, podpisaliśmy 33 listy otwarte do polskich władz politycznych: do władzy wykonawczej, do władzy ustawodawczej i do osobistości świata nauki i kultury. Oczywiście wykazaliśmy na czym to bezprawie polega, bezprawie na Milicji Obywatelskiej, i że nie godzimy się z tym, żeby w ten sposób traktowano młodych ludzi, którzy tylko po to się spotkali, żeby dyskutować, bądź też [dlatego, że] ze sobą pracują, mimo że ktoś mógłby powiedzieć, że taka praca w ogóle nie była godna ludzi wykształconych. Pracowało się w smrodzie, bo przecież jak wiadomo, jak się trzy dni jechało w takim konwoju, [to] buhaje, konie robiły pod siebie. Trzeba było obrządek robić, wiązać je, (zwierzęta były wiązane w specjalny sposób linkami do burt, urywały te linki i wszystkie zaczepy). Nieraz w wagonie to była po prostu corrido. Trzeba było umieć okiełznać to towarzystwo, bo niejednokrotnie ani inspektorzy, ani pracownicy PGR-u (bo to wszystko przeważnie szło z PGR-u) nie mogli sobie z tym towarzystwem buhajowym poradzić. Konie natomiast miały to do siebie, że jak były w wagonie ustawione, to najczęściej tam gdzie stały, to tych ścian tylnych nie było, najczęściej w drzazgach były. To była ciekawa bardzo praca i ciekawi ludzie. Odzew [na nasz protest] był taki, że instytucje władzy wykonawczej, najwyższej wtedy w Polsce, jak i władzy ustawodawczej, czyli Sejmu, Komisji Sejmowej itd. odpowiadały tak, jakby nigdy nic się nie zdarzyło i po prostu wszystko było w najlepszym porządku. Natomiast jeśli chodzi o tych przedstawicieli świata nauki i kultury, to była bardzo ciekawa reakcja Marii i Tadeusza Kotarbińskich, tego małżeństwa filozofów, którzy odpowiedzieli. I wtedy również odpowiedział nam Jan Józef Szczepański z pewnego rodzaju satysfakcją, że są tacy ludzie, którzy sprzeciwili się temu [co ich spotkało] i zaprotestowali w ten sposób, [oraz że] chcieli w jakiś sposób uzyskać satysfakcję za te pobicia, nie tylko wyjaśnień, ale i w formie odszkodowania. Z chwilą wysłania tych listów uznałem, że czas przygody jazdy w tych konwojach skończył się i zaszyłem się w Bieszczadach. W 74 roku już na stałe zaszyłem się w Bieszczadach. Niektórzy z tych osób, którzy uczestniczyli w tych zdarzeniach również tam przyjechali i w ten sposób tzw. desant poznański przygotowywał Bieszczady, czyli region Bieszczad do strajków. Oczywiście jeszcze nikt nie myślał o strajkach chłopskich w 74 czy w 75 roku, ale taki był finał.

Gdzie dokładnie w Bieszczadach?

Dokładnie w rejonie tych najwyższych partii górskich, czyli konkretnie gmina Lutowiska, Dwernik, Połonina Caryńska. Było tam kilka osób z Poznania, niektórzy mieszkają tam do dziś. Byli młodzi z Wrocławia. Później, jak staliśmy się słynni w Bieszczadach, to już ze wszystkich stron Polski przyjeżdżali. Ale wtedy staliśmy się słynni między innymi dlatego, że po 75 roku, jak już osiadłem w Bieszczadach, nawiązałem współpracę z takim człowiekiem, który się nazywał Wiesław Fischer, magister i z drugim jego bliskim kolegą, współpracownikiem, księdzem Stanisławem Małkowskim. To byli pierwsi intelektualiści i przedstawiciele - jak ks. Małkowski - duchowieństwa, którzy wtedy

zauważali problem, który w Polsce był wtedy bardzo mocno nabrzmiaty – [problem] narkomanii. Grupa bieszczadzka [jako] pierwsza zorganizowała funkcjonowanie ośrodka rehabilitacji narkomanów; oczywiście nielegalnego, niezależnego od wszelkich władz oficjalnych. Było to grubo przed działaniami słynnego później w stanie wojennym śp. Marka Kotańskiego. Myśmy byli pierwszą taką grupą w Bieszczadach, która robiła rehabilitację w stosunku też do własnego zagrożonego środowiska. Ta rehabilitacja polegała głównie na tym, że myśmy nikogo nie chcieli wyprowadzić z narkotyków, ludzie musieli sami tego chcieć, w zamian za komfort bycia razem [i] walki prowadzonej razem, walki prowadzonej cały czas nieformalnie. Po roku się okazało, że tamtejsze władze, [a] nie tylko tamtejsze, ale nawet warszawskie władze centralne zaczęły się [nam] interesować. W 1975 roku zainteresowanie moją osobą miało już konflikt prawny, tzn. dostałem wtedy pierwsze kolegium za brak zameldowania na terenach, wtedy jeszcze nikt o tym nie wiedział, [które] będą terenami Urzędu Rady Ministrów. Nie chciano mnie po prostu zameldować, w związku z tym w 1975 roku nie miałem zameldowania, i zostałem zatrzymany w miejscowości Dwernik. Otrzymałem kolegium w Lesku. Mogę stwierdzić, i nie tylko ja, że niezwykle mi się udało, że wtedy nie trafiłem do aresztu. Dostałem 24 godziny czasu na przywiezienie pieniędzy pod groźbą, że jak nie przywiozę, i jak nie uiszcę tej grzywny, to zostanie automatycznie zamieniona na areszt. Wtedy dostałem 1200 zł grzywny za brak zameldowania w Bieszczadach, gdzie już przebywałem ponad rok. Wtedy po raz pierwszy się okazało, że normalni ludzie w Bieszczadach, nie tylko młodzież, nie tylko ta grupa młodzieżowa, są już ze sobą zintegrowani, bo te pieniądze zebrałem szybko i na następny dzień zawiozłem. W związku z tym nie trafiłem wtedy do aresztu. To było kolegium w Lesku i pierwszy kontakt w Bieszczadach z rzeczywistością prawną. Te konflikty zaczęły narastać, bo właśnie w 75 roku URM i MSW postanowiło utworzyć tereny specjalne w Arłamowie i sięgnęły one aż na tereny Caryńskiego, czyli gminy Lutowiska, konkretnie Caryńskie, Muczne. I wtedy wstrzymano już jakiegokolwiek zameldowania. Ja zameldowania wtedy nie miałem, ale zaraz po tym epizodzie z grzywną, zostałem czasowo zameldowany w Bieszczadach, w Dwerniku. Konflikt narastał. Grupa młodzieżowa stawała się grupą coraz głośniejsza. Słynna zaczęła być z tego, że ujawniamy te plany [URM] i nie dopuszczamy do realizacji tych planów. Okazało się, że rozpoczął się konflikt bezpośrednio z tajnymi służbami, ponieważ zarządcą tych terenów URM w Bieszczadach w Arłamowie był ówczesnym czasie niejaki płk Kazimierz Doskoczyński, który był [tam] umocowany przez Biuro Ochrony Rządu. Wcześniej zasłynął ze swoich bardzo apodyktycznych rządów w Łańsku, w ośrodku rządowym na terenie Polski północnej, olsztyńskiego, a w 75 roku trafił w Bieszczady. Nastąpiła nowa era walki i konfliktu. Władze, te wojskowe i tajne i poprzez cywilne służby, próbowały ograniczać możliwości osadnictwa na tym terenie, ale z kolei [my] byliśmy już tak głośni, popularni, że...

Ilu was wtedy mogło być?

Przeciętnie około 20-tu osób. Między innymi opanowaliśmy wszystkie schroniska wysokogórskie, a było ich cztery. Opanowaliśmy, tzn. kierowali tymi schroniskami ludzie, dla których opór przeciwko systemowi władzy ówczesnej i tzw. konspiracja, żeby nie dopuszczać do lokalizacji tych terenów URM, była pierwszoplanowa. W przypadku Caryńskiego i mojej osoby nosiło to przez krótki okres czasu taką przykrywkę, że jest to nieformalny ośrodek resocjalizacji narkomanów, ale to szybko pękło jak bańka mydlana. Już w 77 roku na jesieni odbyła się dużo skuteczniejsza akcja, w której aresztowano 4-5 osób i osadzono nas w Sanoku pod zarzutem nielegalnego osadnictwa w Bieszczadach, braku zameldowania, włóczęgostwa – to był ten rodzaj zarzutów – gdzie już nie mogliśmy się wykupić. Dostaliśmy już areszt bezwzględny, bez możliwości

wykupienia się. Tym pierwszym aktem było aresztowanie 4-5 osób uważanych za przywódców, prowodyrów tego nielegalnego osadnictwa w Bieszczadach, jak to nazywano. Nielegalnego, w odróżnieniu od tych poprzednich działań osadniczych w Bieszczadach prowokowanych przez władze komunistyczne. Pierwszym osadnikom udzielano dużych kredytów, nam natomiast systematycznie odmawiano możliwości kredytowania. Myśmy praktycznie sami pracowali na to, żeby założyć gospodarstwo. To było bardzo duże gospodarstwo na Caryńskim, nielegalne gospodarstwo. Nikt się nikogo nie pytał o zgodę. Ja w końcu podjąłem pracę na umowę jako juhas w spółdzielni kółek rolniczych w Czarnej, w związku z czym miałem przez jakiś czas umowę na dzierżawę 20 ha na Caryńskim, ale praktycznie gospodarowaliśmy gdzieś około sięgą. To ówczesne władze komunistyczne niezmiernie denerwowało, ponieważ wydawało się, że w tych czasach nikt się nie odważy tak otwarcie przeciwstawiać władzy. Stało się jednak inaczej. Nie było innego wyjścia, jak otwarte represje.

W Sanoku spędziłem w areszcie ponad 4 miesiące. Ponieważ te trzy miesiące tzw. aresztu bezwzględnego skończyły się, wymyślono jeszcze, żeby postawić mi zarzut pomocy w ukrywaniu na Caryńskim w górach ludzi, którzy byli poszukiwani. Wyszedłem po ponad 4 miesiącach dopiero w wyniku pierwszej w życiu głodówki, jaką wtedy w więzieniu w Sanoku rozpocząłem. To było też bardzo ciekawe przeżycie i bardzo ciekawe zjawisko. Poruszone były władze więzienne i władze komunistyczne Podkarpacia, ponieważ była to chyba pierwsza głodówka o charakterze politycznym, bo już nie sposób było tego ukryć. Jak tylko nas przywieziono z Bieszczad (tych pięć osób), zyskaliśmy bardzo dużą sympatię wśród więźniów w więzieniu w Sanoku. Byliśmy traktowani jako swoi ludzie przez wszystkich kryminalistów, natomiast cała MO, SB bardzo była zdumiona, że nie mogą sobie z tym problemem, z naszym problemem poradzić. Aresztowanie nastąpiło 2 listopada. 24 grudnia pod dowództwem niejakiego kapitana ówczesnego Wojewódzkiego Urzędu Spraw Wewnętrznych w Krośnie (bo to było woj. krośnieńskie), pana Kazimierza Sadowskiego, przyjechała [na Caryńskie] cała ekipa milicjantów. Podcięli krokwie chałupy, która była nielegalnie zbudowana, ale ja byłem w niej zameldowany. To było takie ciekawe zjawisko, że wtedy jak zostałem aresztowany, to byłem tam zameldowany. Było to jedyne moje miejsce zamieszkania, mimo że chałupa była nielegalnie zbudowana i oczywiście obora i całe gospodarstwo. Nie zabezpieczono tego majątku żywego, nie zabezpieczono wszystkiego co w tej chałupie zostało. W związku z tym po wyjściu z więzienia w 78 roku, zostałem zameldowany przez miejscowych ludzi, przez niejakiego pana Józefa Soszyńskiego i jego żonę Krystynę, którzy byli inteligencją wrocławską. Pan Józef był metaloplastykiem z wyższym wykształceniem, pani Krystyna była jedyną specjalistką – pediatrą na terenie Bieszczad. Jak mnie zameldowali na stałe w Dwerniku, bo ja nie miałem żadnego stałego zameldowania, ponieważ jak zostałem zameldowany w tej nielegalnej chałupie [na Caryńskim] na dwa lata, to przyjechałem tutaj [w poznańskie] i się stąd wymeldowałem.

No ale tam już stałego zameldowania w nielegalnej chacie nie miałem, tylko czekano tak długo, aż mi się to zameldowanie czasowe skończy. W związku z czym w momencie aresztowania zostałem aresztowany jako włóczęga, który miał konie, bydło, owce, chałupę, ale pod zarzutem nielegalnego budownictwa i osadnictwa w Bieszczadach i włóczęgostwa. Wtedy nikt jeszcze nie myślał oczywiście, że są więźniowie polityczni. W 78 roku, po zwolnieniu z aresztu (to miało miejsce pod koniec marca) w maju złożyłem pozew do sądu o odszkodowanie, popierając to dowodami w postaci 15 świadków, gdzie przedstawiłem, że miałem taki i taki majątek, i oskarżyłem Skarb Państwa o zniszczenie tego majątku, wskazując, że odpowiedzialna jest Komenda Wojewódzka MO w Krośnie, wskazując osoby odpowiedzialne. Po rocznym

procesie sąd uznał, wojewódzki sąd w Krośnie, że rzeczywiście było to bezprawie, i w 79 roku wygrałem 50 tys. odszkodowania. To była bardzo nietypowa sprawa. Obciążono wtedy naczelnika gminy Lutowiska, który praktycznie był Bogu ducha winny, bo on wykonywał tylko polecenia. Obliczono to w ten sposób, że wszystkie rzeczy, które miałem wyszczególnione, które straciłem, wyceniono, znaczy ja tę wycenę przedstawiłem, biegli to potwierdzili, proszę sobie wyobrazić, i ocenili na 50 % wartości. Jeśli chodzi o inwentarz żywy, to ocalał, ponieważ zaopiekowali się nim moi koledzy, którzy nie zostali aresztowani. Po wyjściu z więzienia, jak już ten proces zacząłem prowadzić, wróciłem osobiście na Caryńskie i dalej, w oparciu o ten inwentarz i o tych kolegów, którzy z powrotem się skupili na Careńskim, żeśmy dalej tam gospodarowali. Później, jak te 50 tys. odszkodowania (niecałe, bo to już z procentami) mi wypłacono, nastąpił w 79 roku rozwój gospodarstwa i był [to] już rzeczywistym zapleczem działań, które przełożyły się w 80 roku na pierwszy strajk w Ustrzykach Dolnych.

Przechodzimy do 80 roku...

Równocześnie w gminie Ustrzyki Dolne, cały ośrodek w Arłamowie dawał się we znaki tamtejszym rolnikom. Sytuacja była taka, że KOR słysząc, że tam się coś w Bieszczadach dzieje, np. wysyłał pana Wiesława Kęcika, czy pana Macieja Reyzachera, oczywiście nie do nas, tylko tam na tereny Arłamowa. Oni przyjeżdżali i oczywiście po kilku godzinach byli zwinieci i zatrzymani, i trzeba było ich wyciągać z aresztu, w ten sposób, że np. powiadamiać Romaszewskich w Warszawie, żeby ich wykupili przy pomocy miejscowego księdza w Ustrzykach. I taki był efekt działania KOR-u. A z Wolnej Europy się słyszało, że to oni najwięcej hałasu narobili. Hałasu tak, ale tak naprawdę, można powiedzieć, takie właściwe przygotowanie organizacyjne, taką konspirację, która później zaowocowała strajkiem w Ustrzykach, to organizowała grupa, w której traktowano mnie jako lidera, ta grupa młodzieżowa w Bieszczadach. Myśmy to zjawisko KOR-u czy Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela traktowali jako coś tam jest, gdzieś tam sobie jakoś politycznie działają, ale niemniej nie czuliśmy się w żaden sposób związani. Chociaż ta współpraca, powiedzmy sobie, była, chociażby pod tym względem, że przekazywano informacje na temat Arłamowa i tego co się tam dzieje. [To] bardzo często z Wolnej Europy płynęło. Było to raczej takie działanie organiczne, a nie demonstracyjne. Tym się różniliśmy właśnie od tych działań KOR-ich, które są nawet dzisiaj nagłaśniane jako przekładanie działania KOR-u na wieś. Próbowano nas przekonywać, namawiać, żebyśmy utworzyli jakiś komitet samoobrony w Bieszczadach itd., ale nie wyrażałem na to zgody. Chociaż wtedy największa pomoc, i w czasie tego procesu, i finansowa również, płynęła ze strony państwa Romaszewskich, natomiast pomoc prawna ze strony pana mecenasa Olszewskiego. Z tym, że oni oficjalnie nigdzie nie występowali. Tak że jak były takie historie, że w Warszawie gdzieś tam mnie sfotografowano, gdzieś tam wychodziłem od kogoś, [to] potem mnie wzywano już w 79 roku czy na początku 80 do komendy w Krośnie na przesłuchania. To już było jasne, że gdzieś tam mnie wychwycono i Warszawa przekazuje te materiały, żeby mną się interesować.

No ale nigdy nie mogli nas utożsamić, mojej działalności czy [działalności] całej tej grupy bieszczadzkiej, ani z KOR-em, ani z Ruchem Obrony Praw Człowieka i Obywatela, co było też w pewnym sensie dla nas cenne, bo żeśmy się rzeczywiście uważali za ludzi niezależnych i nawet wolnych od strony politycznej, za takich wolnych chłopów, którzy nie wstydzili się nigdy swoich korzeni. Rejestrowani byliśmy w Bieszczadach jako narkomani, hipisi, różnego rodzaju kartoteki zakładano. Ja oprócz tego, że tu w Poznaniu miałem kartotekę..., z tym, że nigdy nie miałem kartoteki narkomana Te kartoteki się różniły. Jak się strajki sierpniowe rozpoczęły, mieliśmy już łączników, którzy jeździli na Wybrzeże, np. taki Andrzej Stadnicki, żyjący do dzisiaj, też

z Poznania, czy inne osoby jeździły bezpośrednio, przywoziły ulotki w Bieszczady. Tak że już pod koniec sierpnia udało nam się już z tymi strajkami sierpniowymi zorganizować pierwszy strajk solidarnościowy. Polegało to na tym, że został wstrzymany ruch autobusów w Bieszczadach, co było główną przyczyną paraliżu komunikacyjnego. To trwało 3 dni wprawdzie, no ale to może śmieszne, że to akurat nam się udało zorganizować i sprowokować kierowców autobusów... ostatnie dni sierpnia również w Bieszczadach były sparaliżowane. Po czym już od września 80. roku zaczęły być organizowane koła Solidarności wiejskiej w Bieszczadach, no i w związku z tym, że ta Solidarność pracownicza była bardzo słaba [w Bieszczadach], utworzyliśmy taką bardzo nietypową organizację; nazywało się to Federacja Robotników, Rolników i Innych Grup Zawodowych Bieszczadów. A dlaczego Innych Grup Zawodowych Bieszczadów? Mianowicie dlatego, że ten Andrzej Stadnicki i Remek Szymański zorganizowali Niezależny Związek Zbieraczy Runa Leśnego. Ten związek w październiku 80 roku doprowadził do rozmów w Lesku na temat statusu zbieracza runa leśnego. Przyjechali przedstawiciele ministerstwa rolnictwa, ochrony środowiska i leśnictwa. Głównym postulatem wewnętrznym tego związku, ja wspierałem ich wtedy, było to, żeby na rozmowach ta ekipa, przedstawiciele zbieraczy runa leśnego, byli trzeźwi. Lesko było wtedy oflagowane, to było ogromne wydarzenie. To było praktycznie rzecz biorąc, po tym strajku kierowców i paraliżu jeszcze związanym z sierpniem, następne ważne wydarzenie w Bieszczadach. To było na początku października 80 roku. A następnym takim organizacyjnym wydarzeniem, dopiero 9 listopada, był Sejmik Bieszczadzki, już chłopski, na który ściągnęli z całej Polski ci chłopci, którzy na hasło Solidarności, już organizowali Solidarność wiejską w różnych innych częściach kraju. Organizowali, czy, można powiedzieć, w ogóle utożsamiali się już z tym ruchem wiejskim Solidarności wiejskiej. To miało miejsce 9 listopada i tam wtedy w Ustrzykach Dolnych nazwaliśmy to Sejmik Bieszczadzki. Po raz pierwszy publicznie, przyjechała wtedy telewizja między innymi. Po raz pierwszy zostały postawione sprawy Arłamowa i terenu URM jako coś co jest państwem w państwie, i co jest podstawowym dowodem na to, że system komunistyczny się nie sprawdził i należy go obalić. Dosłownie tak było sformułowane. Ówczesne tamtejsze władze wpadły w przerażenie i ten 9 listopada stał się hasłem do poważnych represji. Mimo że ta duża Solidarność, tzw. robotnicza, była w dużym rozwoju, to jednak w Bieszczadach w tamtym okresie, nastał czas represji. A czym to się charakteryzowało? Np. jak byłem w Warszawie i brałem jakąś bibułę z Warszawy, to daleko nie jechałem z tą bibułą, bo już byłem zatrzymywany. Swego czasu na lotnisku zostałem zatrzymany, ponieważ wpadłem na pomysł, że samolotem do Rzeszowa polecę [z bibułą], no to nikt się nie zorientuje, jeśli chodzi o służby. Nawet nie wyleciałem z Warszawy, zostałem zatrzymany na lotnisku z plecakiem bibuły. Oczywiście innymi drogami żeśmy przemycali wtedy bardzo duże ilości już tego wszystkiego, co wychodziło. Na przykład grupy ulotkowe mieliśmy zorganizowane, np. w Sanoku o godzinie 15:00, jak robotnicy wychodzili z Autosanu, a był to wtedy największy zakład pracy w regionie. Akcja taka trwała od 10 do 15 minut i nim oczywiście milicja i SB się zorientowała, to już rozdane były ulotki, gazetki itd., i już nikogo nie mogli znaleźć. To były słynne akcje w Krośnie przeprowadzane, w Rzeszowie. Docieraliśmy do różnych ośrodków robotniczych, zaplecze główne mając na wsi i wśród ludności wiejskiej. W grudniu 80 roku te represje... osaczono nas po prostu, zatrzymywano nas na każdym kroku i doszliśmy do wniosku, że już dłużej nie wytrzymamy, że to się wiąże z ogromną inwigilacją służb specjalnych, które zaniepokojone były przede wszystkim aktywnością naszej grupy w Bieszczadach i ujawnieniem terenu URM itd. itd. Ja niezliczoną ilość razy byłem zatrzymywany, szczególnie w listopadzie i grudniu. Wtedy przed świętami Bożego Narodzenia doszliśmy do wniosku i już podjęliśmy decyzję o strajku, o zorganizowaniu pierwszego

strajku chłopskiego. Przed świętami Bożego Narodzenia zostały sformułowane rezolucja i odezwa do mieszkańców Bieszczad. Zostały wydrukowane na ramkach (bo już wtedy mieliśmy ramki) w Rzeszowie, przy wsparciu ludzi z Komitetu Samoobrony Chłopskiej Ziemi Rzeszowskiej, między innymi Janusza Szkutnika. One zostały przygotowane przed świętami. Również przed świętami doszło do spotkania w salce katechetycznej w Ustrzykach Dolnych przy kościele, bo tam się spotkaliśmy. Było 30-tu chłopów. Zostały podjęte decyzje o strajku. Z tym, że oczywiście zdałem sobie sprawę, że mogą być wtyki, to podjęliśmy tę decyzję, że zajmiemy Urząd Gminy w Lesku. Tylko parę osób wiedziało, że akcja się rozpocznie w Ustrzykach, zajęciem Urzędu Gminy w Ustrzykach. Dobrze żeśmy zrobili, bo wtedy Lesko zostało obstawione i na pewno żadnego strajku tam byśmy nie rozpoczęli. Natomiast w Ustrzykach spokojnie strajk został rozpoczęty drugi dzień po świętach, 28 grudnia. Ale muszę przyznać, że z tych 30-tu osób strajk w Ustrzykach rozpoczynało 7 osób. 7 osób stawiało się na tę godzinę umówioną, czyli na 7:00. O wpół do ósmej żeśmy weszli do Urzędu Gminy. Zaskoczenie było kompletne. Ogłosiliśmy naczelnikowi, że zaczynamy okupację Urzędu Gminy. [Wręczyliśmy mu] pierwszą listę postulatów, tam było 7 postulatów, czy 8; taka tam krótka była, taka „na rybkę”,. Obstawiliśmy oczywiście drzwi wejściowe. Takie było zaskoczenie, że w ogóle nawet nam się to udało. Dopiero powiadomiona milicja, służby. Jak już zjechały pierwsze siły milicyjne do Ustrzyk, no to już ci ludzie zobaczyli, nasi ludzie, że my jednak żyjemy, że nas nie pozamykali, no i przychodzili, przyłączyli się. Już koło południa było około 15 osób. Wtedy zajęliśmy nie tylko schody, korytarz i drzwi wejściowe, ale też i salę konferencyjną. Zajęliśmy pomieszczenie z teleksem – wiadomo, że trzeba było skądś wysłać informacje.

No i tak to się po prostu zaczęło. Jak już sytuacja była dość ustabilizowana (w urzędzie było około 20-tu osób), to wtedy podjąłem się misji specjalnej i pojechałem pierwszego dnia, 28-ego, do Przemyśla, bezpośrednio powiadomić tam naszych ludzi, no bo tam też byli; oczywiście Solidarność robotniczą w Przemyślu. Następnego dnia, 29-ego rano w Przemyślu, Solidarność pracownicza dowiedziała się, że się w Ustrzykach rozpoczął strajk 28-ego.

A muszę zaznaczyć, że Solidarność dała się wtedy zbałamucić tym hasłem stu dni spokoju przez rząd Jaruzelskiego, no i Wałęsa to zaakceptował. Wałęsa w ogóle i Solidarność pracownicza była kompletnie zdumiona, ale przecież myśmy nie podlegali Solidarności robotniczej. Oczywiście panika była niesamowita, ale najciekawsza była reakcja KOR-u i władz ówczesnych założycielskich Solidarności Wiejskiej, którym wtedy przewodził, prezesem był Zdzisław Ostatek spod Warszawy. No więc się okazało, że oni też byli przeciwni temu strajkowi, rozpoczęciu. No bo co oni tam w Bieszczadach wymyślili i co oni mogą zrobić, jak tu przecież na 30 grudnia Sąd Najwyższy wyznaczył rozprawę i będzie Solidarność Wiejska zarejestrowana? A myśmy doszli do wniosku, że nie będzie zarejestrowana, bo komuniści nie są tacy durni, żeby jakiś taki związek, który nie jest dokładnie kontrolowany, żeby zaraz utworzyć od razu po związku Solidarności pracowniczej. No i się okazało, że my mamy lepsze przewidywania. 30-ego już strajk trwał na dobre. Przedstawiciel naszego komitetu strajkowego w Ustrzykach też uczestniczył w tej rozprawie 30 grudnia w Warszawie i przekazywał nam bezpośrednio informacje, oczywiście nie telefonicznie, bo tędy była droga zamknięta, blokady były wszędzie. Okazało się, że mieliśmy lepsze przewidywania, ponieważ okazało się, że Sąd Okręgowy w Warszawie odrzucił wniosek o zarejestrowanie Solidarności Wiejskiej. Jednak sąd też dowiedział się poprzez naszego przedstawiciela na tej rozprawie, że chłopci bieszczadzcy rozpoczęli strajk właśnie dlatego, żeby poprzeć postulat rejestracji. Oczywiście to też nic nie pomogło, bo to było już wcześniej przez ówczesne władze PZPR-oskie uzgodnione, żeby jednak nie rejestrować związku, tak że ten nasz protest

nie miał jakiegoś większego wpływu na sąd. Niemniej strajk już trwał, przerażenie Solidarności pracowniczej było ogromne, tak że Przemyśl w ogóle wstrzymał wszelkie swoje poparcie, jeśli chodzi o Solidarność pracowniczą. Przewodniczący, niejaki Kijanka się nazywał... no to w ogóle panika była kompletna jak poprzedniego dnia z naszymi ludźmi z terenu przemyskiego żeśmy wkroczyli do..., tam gdzie to się odbywało. Mimo wezwania do poparcia tego strajku ustrzyckiego, takiego wezwania nie podjęli, postanowili sami sprawdzić, czy to w ogóle prawda, że ten strajk istnieje. Natomiast ja pojechałem do Rzeszowa, i tam w zasadzie pierwsze i jedyne wsparcie poważne zostało udzielone momentalnie, bardzo szybko przez ówczesnego przewodniczącego Solidarności pracowniczej z Rzeszowa – Antoniego Kopaczewskiego. Antoni Kopaczewski też podjął działanie następne, że jeszcze tego samego dnia pojechał ze mną do Krosna, i tam była podobna sytuacja jak w Przemyślu, że oczywiście Krosno nie popierało strajku, a wręcz podejrzewało, że to jakaś prowokacja esbecka, ukraińska albo coś takiego. W krytycznym momencie tego drugiego dnia, pamiętam przyjechaliśmy z Kopaczewskim do Ustrzyk wieczorem, no i na sali znowu było 7 osób. Był znowu taki ponowny kryzys. Był 29 grudnia. Wtedy Kopaczewski siedział chyba do północy i wsparł duchowo wszystkich. Przetrzyliśmy ten kryzys. Następnego dnia, właśnie 30-ego okazało się, że nie ma tej rejestracji. Przyjechał z Warszawy nasz przedstawiciel, niejaki Franciszek Łysyganicz z Polany. Przyjechali inni ludzie z Polski. Między innymi, jednym z pierwszych, który przyjechał (przyjechał dokładnie 31 grudnia) był Henryk Bąk, jeden z pierwszych tych działaczy krajowych. Strajk ustrzycki miał jeszcze jeden kryzys: 31 grudnia, czyli w Sylwestra. Ale też go przetrwaliśmy, w 10 osób. Ten 1 stycznia, pamiętam, był niesamowity, to był Nowy Rok, no i wtedy niesamowita ilość ludzi. Była piękna pogoda, słoneczna, mimo że mroźno było. Wtedy mnóstwo ludzi, takich miejscowych z Bieszczad dowiedziało się i zaczęli przyjeżdżać. Przywozili różne produkty, babki, żarcie, no bo nie mieliśmy za bardzo co jeść. Wtedy dopiero po raz pierwszy odczuliśmy, że rzeczywiście ten strajk zaczyna żyć. Kibitki przyjeżdżały, przywoziły wszystko, produkty, placki itd. Po 1 stycznia coraz więcej przedstawicieli z Polski przyjeżdżało, tak że ten strajk miał już umocowanie. A 5 stycznia rozpoczął się strajk w Rzeszowie, [strajk] chłopów rzeszowskich. Wtedy, można powiedzieć, był już pełen komfort. Myśmy już stworzyli tę właściwą listę postulatów, tak że jak 8 stycznia pierwsza Komisja Rządowa przyjechała, która okazało się nie miała żadnych pełnomocnictw, to mieliśmy już tę właściwą listę postulatów, i wtedy dostali te właściwe postulaty na stół, przy pierwszej rozmowie. A teraz jednak chciałbym przejść do poważnej represji. Wszystko to, co się działo przed rozpoczęciem Strajku Ustrzyckiego, to, powiedzmy sobie, były bardziej takie manewry ze strony Służby Bezpieczeństwa w Bieszczadach, [ze strony] służb specjalnych związanych z tym terenem i [ze strony] Milicji Obywatelskiej. Natomiast w dniu 12 stycznia 1981 doszło do, jeszcze raz powtarzam, 12 stycznia 1981, doszło do pierwszej zorganizowanej akcji przez ZOMO, czyli Zmotoryzowane Odwody Milicji Obywatelskiej, które to oddziały zostały powołane do działań zbrojnych przeciwko demonstrantom, manifestantom, wszelkim strajkom, itd. ZOMO zostało powołane i zaczęło funkcjonować od 1 stycznia 81 roku. 12 stycznia przeprowadzono pierwszą akcję w Ustrzykach, [akcję] rozbicia Strajku Ustrzyckiego. Ponieważ wszelkie inne metody zawiodły, między innymi metoda negocjacji, w których rząd, a właściwie- powiedzmy sobie- specjaliści sowieccy, chcieli nas oszukać; ponieważ tą pierwszą komisję, która przyjechała 8 stycznia, żeby z nami prowadzić negocjacje, była tzw. komisja Cioska. Oczywiście Cioska nie było w tej komisji, ale on sform[uł]ował tę komisję. Tam rzeczywiście znaleźli się specjaliści, jak się później okazało, do wprowadzania w błąd. Jednak nie udało się to i komisja ta wyjechała z Ustrzyk 11 stycznia, stwierdzając, że oni nie odpowiadają za to, co się tutaj może wydarzyć, ponieważ to my zrywamy rozmowy. Prawda była taka, że

myśmy rozmów nie zerwali tylko doprowadziliśmy do ujawnienia [tego], że komisja ta nie posiada pełnomocnictw do podpisania żadnego porozumienia, tylko do negocjacji, a między negocjacjami, a podpisaniem porozumienia była zasadnicza różnica. Oczywiście przeżyliśmy już w tym czasie kilka prób rozbicia komitetu, m.in., może to jest bardzo dziwne co powiem, ale jedną z tych prób rozbicia komitetu była prowadzona przez ludzi związanych z KOR-em, m.in. Wiesiek Kęćik razem z moją małżonką przyjechał. Poza kilkoma osobami, a mianowicie Henrykiem Bąkiem, poza Józefem Teligą, którzy popierali nas i to, że ten strajk w Ustrzykach jest i, że powołaliśmy Ogólnopolski Komitet Strajkowy (taka była prawda, że powołaliśmy). Nawet Kułaj, wtedy już jako przewodniczący Komitetu Rzeszowskiego, działał w ten sposób. Wiadomo, że Kułaj był osobą, którą wtedy ZSL wepchnął na to stanowisko przewodniczącego Komitetu Strajkowego w Rzeszowie. Próbowali nas zepchnąć na drugi plan. Tak że pierwsza interwencja ZOMO w Ustrzykach, 12 stycznia nie była przypadkowa. Rozeznanie mieli bardzo dobre, że jesteśmy osamotnieni, tzn. że strajk się w zasadzie rozszerza, bo chłopci aktywnie włączają się do strajku, ale pod względem politycznym, nikt nas nie popiera: ani Wałęsa, ani Solidarność pracownicza, ani ówczesny KOR i cały Komitet Założycielski ze Zdzisławem Ostatkiem na czele (tam ambicjonalne sprawy pewne były), tylko pojedyncze osoby, tak jak powiedziałem w osobie Henryka Bąka tu z Warszawy, z Radomia, Józefa Teligi. Oni to jasno [i] wyraźnie mówili, że ten strajk jest, [że] zaczęliśmy, [że] postulaty są słuszne i trzeba to kontynuować. To są może bardzo dziwne epizody, ale mówię to z pełną świadomością, bo te elementy się dzisiaj zacierają w historii. Ja byłem przeświadczony już wtedy, a teraz tym bardziej, że ta zbrojna interwencja ZOMO, przy pomocy której rozbito ten strajk, nie była przypadkowa. Ona była przygotowana już w pewnym sensie psychologicznie. Niemniej środowisko chłopskie i bieszczadzkie i podkarpackie, i to, które było ze sobą związane tymi wszystkimi wydarzeniami, było tak mocne, że nie udało się po prostu rozbić tej grupy, i mimo że strajk został rozbity, to przetrzymaliśmy znów ten najgorszy okres w Rzeszowie, poczym nie zgodziliśmy się, żeby przystąpić do Strajku Rzeszowskiego i do Komitetu Rzeszowskiego, i wróciliśmy z powrotem do Ustrzyk. W Ustrzykach zajęliśmy inne pomieszczenia i budynki, i strajk był kontynuowany. Na tej tylko zasadzie doszło do podpisania [porozumienia] i w Rzeszowie, i w Ustrzykach, i dlatego do dnia dzisiejszego funkcjonuje to jako jedno z czterech głównych porozumień ówczesnego czasu rządów komunistycznych: Porozumienie Ustrzycko-Rzeszowskie. Taka dziwna konstrukcja Ustrzycko- Rzeszowskie, ale [ta nazwa wskazywała] właśnie to, że [po pierwsze] było to porozumienie chłopskie, a po drugie [że] nie daliśmy zmarginalizować sprawy Bieszczad i Ustrzyk, gdzie strajk się rozpoczął i zakończył.

W każdym razie to było objawem dużej siły organizacyjnej. Wtedy to był niesamowity potencjał, i mimo że po jakimś czasie okazało się, że intencje osób kierujących tymi strajkami były różne, [to] jednak z punktu widzenia historycznego jest [to wydarzenie] najważniejsze, ponieważ Porozumienie Ustrzycko- Rzeszowskie stało się Konstytucją polskiej wsi, czyli czymś do czego chłopci zawsze będą wracać. Było to zwycięskie starcie z ówczesną władzą komunistyczną i stało się zwycięskim też dlatego, że [było] dla nas pierwszym doświadczeniem, w którym pokazaliśmy, że stać nas na to, żeby samodzielnie się zorganizować, i żeby wypracować cały program, który był zawarty w tych Porozumieniach, w tych postulatach. Niemniej ten epizod z 12 stycznia jest historyczny i pokazuje, że ówczesna władza komunistyczna za wszelką cenę chciała doprowadzić do zatarcia śladów tych korzeni strajku i całej tradycji walki o niepodległość. Nawet ludność pochodzenia ukraińskiego nas wspierała i [nam] pomagała. Duże zamieszanie robiły służby specjalne rozrzucając różnego rodzaju ulotki po różnych miejscach. W Poznaniu nagłaśniano np., że to Ukraińcy strajkują, że to nie ma nic wspólnego z jakąś tam Solidarnością itd. Jednak to wszystko odbywało się na

takiej fali wolnościowej. Cały rok 81 to było dochodzenie do legalności Związku. Jeszcze był Zjazd Zjednoczeniowy w Poznaniu, jeszcze był Strajk Bydgoski, który można powiedzieć, był uzgodniony z chłopami z Kujaw w Rzeszowie- gdy nam się nie uda osiągnąć rejestracji Związku, to dalej będziemy kontynuować walkę o legalizację Związku. To że to był akurat Związek Rolników, (Związek Robotniczy, to niech i będzie Związek Rolników) ale to były jak najbardziej polityczne żądania, i tak one zostały później potraktowane przez ówczesnych rządzących, którzy musieli zabezpieczać się stanem wojennym. Okres budowania związku [w] 81 roku jest niezwykle cenny i wartościowy. Do dnia dzisiejszego chociażby, obchodzi się corocznie rocznicę Porozumień Ustrzycko-Rzeszowskich [oraz] prawie corocznie rocznicę Zjazdu Poznańskiego i Strajku Bydgoskiego, który postawił kropkę nad „i” w celu legalizacji Związku. W ostatnim czasie są obchodzone rocznice, [ale] w stanie wojennym też były [obchodzone].

Teraz ten wątek z Kościołem. Jest to niezwykle ważny wątek, ponieważ tam akurat, na tamtym terenie [w Bieszczadach, działał] ksiądz Stanisław Małkowski, już od lat 70-tych zaangażowany we wspieranie tego nurtu rehabilitacji narkomanów. Oczywiście zawsze temu służył element patriotyczny. Następnie ks. Sadłowski ze Zbroszy Dużej, bez którego ten Komitet Samoobrony Chłopskiej by nie powstał w tamtym terenie. Oczywiście ksiądz biskup, obecnie arcybiskup Ignacy Tokarczuk. Na tamtym terenie [na Podkarpaciu] to on był główną podporą. To, że zaczęliśmy otrzymywać bezpośrednio wsparcie od ks. biskupa Tokarczuka było już efektem tych wydarzeń w górach w 77 roku [oraz] tego aresztowania, rozbicia na Caryńskim. Niemniej ks. Arcybiskup nie ukrywał, nie ukrywa do dzisiaj, my też nie, że byliśmy taką grupą- sektą, która unikała Kościoła. Unikała chodzenia do kościoła, bo komu by się tam chciało jeździć 12 km do kościoła w Lutowiskach. Ale jak padł pomysł, żeby zbudować kościół w Dwerniku i przenieść cerkiew w Lutowiskach, to żeśmy się do tej akcji włączyli bardzo ochoczo. Ale oczywiście zaczęły się tutaj różne ceregiele z władzami, ponieważ nie było żadnego pozwolenia: ani na budowę kościoła w Dwerniku, ani na rozbiórkę cerkwi w Lutowiskach. Wtedy w decydującym momencie, kiedy już były fundamenty tego kościoła w Dwerniku postawione, no to wtedy interwencja milicji nastąpiła, że nie można tej cerkwi w Lutowiskach rozbierać, bo ona jest zabytkowa. Wtedy udaliśmy się do Przemyśla w takiej delegacji, i wtedy doszło do pierwszego spotkania, i ks. Biskup mówi, że daje nam pozwolenie, i że mamy tę cerkiew rozbierać i ten kościół zbudować w Dwerniku. Jak to już nastąpiło, to dał nam pierwszego, świetnego proboszcza, (który już nie żyje) Nazywał się Jan Kapita. Ta budowa się skończyła w 79 roku. Kościół został poświęcony. Ale ten pierwszy kontakt z biskupem później zaowocował [tym], że jak zaczęliśmy strajk w Ustrzykach, to też pojechaliśmy przede wszystkim do niego, by go o tym powiadomić. On nie tylko przyjął [nas] i pochwalił, że dobrze że mamy zamiar to zacząć, ale zaopatrzył nas w fundusze.

(Ojciec wtedy reprezentował inną gazetę. Szybko zdobył nasze zaufanie, chociaż ja byłem wtedy odpowiedzialny za dopuszczanie dziennikarzy do strajku i np. takiego zaufania dziennikarz Chłopskiej Drogi nie miał. Niemniej byli pierwszymi dziennikarzami, którzy zostali do strajku dopuszczeni i cały czas przebywali na strajku, chociaż takiego szczęścia inni nie mieli, a komunistyczne gazety typu Trybuna Ludu to w ogóle nie byli wpuszczani na strajk, natomiast inni dziennikarze tylko wtedy, kiedy mieli z Warszawy z Regionu „Mazowsze” poręczenie, że można ich dopuścić.)

Skończę ten epizod poparcia Kościoła. Bp Tokarczuk nie demonstracyjnie, ale poparł bardzo mocno rozpoczęcie strajku, jeszcze przed [jego] rozpoczęciem (nie w trakcie broń Boże). Wzmocnił to [poparcie od] strony finansowej, co było dla nas bardzo istotne, bo inaczej trudno nam by było w ogóle rozpocząć ten strajk, bo trzeba było

zgrupować trochę żywności, a nie można tego było rozgłaszać za wcześnie, i nie można było tego ujawniać i pokazywać. Później przez cały okres strajku przewijały się postulaty dotyczące religii w szkole, w wojsku, budowy kościołów, żeby to zalegalizować w Komisjach Rządowych. Później w Komisji Rządowej [wydelegowanej] do podpisania Porozumienia byli już przedstawiciele Wydziału ds. wyznań, którzy akceptowali już niemal wszystkie postulaty dotyczące spraw na pograniczu wiary, Kościoła. Wynikiem Porozumienia Ustrzycko-Rzeszowskiego było powołanie Komisji ds. Porozumienia Ustrzycko-Rzeszowskiego, która to Komisja funkcjonuje do dnia dzisiejszego. Legitymację legalizacji otrzymała w wyniku podpisania Porozumienia i ta legitymacja funkcjonuje do dzisiaj. Są to osoby wśród sygnatariuszy, oczywiście ci, którzy jeszcze żyją. Pierwszym przewodniczącym Komisji był Józef Ślisz, a po jego śmierci został Kazimierz Chorzępa z Podkarpacia. Ja byłem członkiem tej Komisji, teraz jestem [jej] zastępcą. Komisją przez cały 81. rok prowadziła rozmowy z rządem na temat realizacji Porozumień. Tak też się nazywała: Komisja ds. realizacji Porozumień Ustrzycko-Rzeszowskich. To też był ewenement, który nie miał miejsca w wyniku strajków robotniczych, ponieważ strajki robotnicze: i w Gdańsku i w Szczecinie, jak i w Jastrzębiu zakończyły się podpisaniem Porozumienia, ale nie miały żadnej dalszej kontynuacji w postaci komisji. Była tylko postać kontynuacji w postaci Związku. A tutaj, w naszym przypadku myśmy zadbali o to, żeby powstała Komisja Rzeszowsko-Ustrzycka. [Dziś Komisja] stanowi, można powiedzieć, taki trzon ludzi, który kontynuuje to wszystko, co się wtedy zrodziło. Przecież nie chodzi tylko o to, czy się realizuje Porozumienia czy nie, bo część postulatów przestała być aktualna, ale są [również takie, które są] aktualne do dnia dzisiejszego, natomiast chodzi generalnie o to, żeby podtrzymać ten trzon osobowy i tego ducha, który się wtedy zrodził. Dlatego mam niemal pewność, że ten ruch patriotyczny został zniszczony w wyniku stanu wojennego, odradza się. W prawdzie odradza się teraz nie tylko przez podtrzymywanie, utrzymywanie Solidarności RI, ale też w tej opcji politycznej, prawicowej Stronnictwa Ludowego „Ojcowizna”. W tej chwili nie ma co się oszukiwać, że przecież Związek, właściwa jego rola jest zawsze równoległa z działalnością stronnictwa politycznego. A w polskiej tradycji, ta tradycja, można powiedzieć, od przynajmniej Konstytucji 3 maja się otrzymuje, czyli od momentu, kiedy stan chłopski został zrównany z innymi stanami, i dlatego też Konstytucja 3 maja jest nawet w świecie traktowana jako jedna z pierwszych Konstytucji, jako zbiór praw. Natomiast w ostatnich latach wypracowaliśmy Konstytucję polskiej wsi i na dzień dzisiejszy jest elementem wiążącym różne słabe jeszcze ogniwa ugrupowań, niejednokrotnie porozbijanych w wyniku działania jeszcze stanu wojennego, później w wyniku działań wzmocnionej opcji liberalnej. Ten trzon, który do dnia dzisiejszego jest, działa, istnieje i funkcjonuje zawsze był związany z Kościołem katolickim. Oczywiście nie tylko poprzez kontakt z wyższą hierarchią, czy kontakt wymiany informacji, ale również i przede wszystkim z księżmi proboszczami. Ten nurt stał się też na początku stanu wojennego inicjatorem Duszpasterstwa Rolników. W prawdzie Duszpasterstwo też jest w pewnego rodzaju zaniku. Pierwszym duszpasterzem krajowym rolników powołanym został Ks. Biskup Gurda z Kielc, niemniej takim symbolem z tego najsilniejszego działania jest Ks. Biskup Andrzejewski, którego tutaj, jak Pan zauważył, zdjęcie tutaj jest. Przez wiele lat ściśle współpracowaliśmy. Najważniejszym elementem organizacyjnym tej współpracy już w latach 90-tych był Zespół Dobrych Usług, którego Ksiądz Biskup był przewodniczącym, a ja również zostałem powołany w jego skład. To było wtedy, kiedy powstała Samoobrona, i Lepper podejmował bardzo mocne działania, wspierane oczywiście przez polską lewicę komunistyczną i zagraniczną międzynarodówkę masońską (Instytut Schillera i wiele innych- sprawa została zbadana). Wtedy rząd AWS został osaczony tzw. ruchem blokadowym w kraju. Wtedy właśnie pod przewodnictwem ks. Biskupa

Andrzejewskiego powstał Zespół Dobrych Usług, w skład którego wchodził m.in. pan profesor Andrzej Stelmachowski, pan profesor Roman Kukułowicz, Wiesław Kęcik i jeszcze dwóch księży sekretarzy ks. Biskupa Andrzejewskiego: ks. Marciniak i ks. Ireneusz Juszczyński.

CZĘŚĆ II

Przejdźmy teraz bezpośrednio do okresu stanu wojennego:

Gdzie mieszkał Pan w latach 81- 83?

[W] 81 mieszkałem nadal w Bieszczadach, prowadząc w dalszym ciągu gospodarstwo. Praktycznie wtedy już jako członek prezydium OKZ, czyli Ogólnopolskiego Komitetu Założycielskiego Solidarności Rolników Indywidualnych ciągle byłem w Warszawie i w terenie, tak że gospodarstwem bezpośrednio zajmowała się moja późniejsza żona, (w tym czasie byłem jeszcze kawalerem) Urszula Poziomek. Oczywiście gospodarstwo było na Caryńskim, w gminie Lutowiska. Składało się z dwóch koni, kilku, 5-6 sztuk bydła i ponad 30-u owiec, i oczywiście wszystko co z tym związane. W skład gospodarstwa nie wchodziła wtedy żadna własność ziemi, bo nie miałem własności, miałem tylko dzierżawę w Bieszczadach, i nie wchodził [w nią] żaden dom. O ile mówić o domu, to był [to] dom na Caryńskim nielegalnie zbudowany dla potrzeb zamieszkania w okresie wiosenno- letnio- jesiennym. Natomiast w zimie wynajmowałem dom w Dwerniku, czyli w pobliskiej wiosce. Caryńskie to była taka ogromna dolina u podnóża Połoniny Caryńskiej. Tam miałem tą dzierżawę i tam wypasałem. To było trochę partyzanckie gospodarstwo, tak bym to określił, ale zostałem w końcu uznany przez władze gminy Lutowiska jako stały mieszkaniec i jako osoba prowadząca to gospodarstwo. Stan wojenny zastał mnie, praktycznie rzecz biorąc, w ciągłym ruchu między Warszawą, Krakowem, Rzeszowem, w różnych miastach Polski. Tym bardziej że w okresie jesiennym, począwszy od listopada, rozpoczęły się ruchy strajkowe, chłopskie oczywiście, dotyczące nie realizowania Porozumień Ustrzycko-Rzeszowskich. Taką znaczącą akcją, daty nie powiem dokładnej (trudno mi sobie w tej chwili przypomnieć), ale na pewno w listopadzie, były strajki w gminach rzeszowskich. Kilka urzędów gminnych, co najmniej 6-7 urzędów gminnych -była taka mapa opracowana takich rejonów, coś na wzór powiatów- zostało zajętych przez chłopów z żądaniem realizacji Porozumień Ustrzycko- Rzeszowskich. Niemniej w kilku gminach, między innymi w Sokołowie Małopolskim (przede wszystkim tam) zablokowano pracę urzędu i nie wpuszczano urzędników. Potworzyły się lokalne komitety strajkowe. Ta akcja przenosiła się z terenu rzeszowskiego, m.in. na teren tarnowski, gdzie też mieszkało sporo różnych osób, które uczestniczyły w Strajkach Ustrzycko- Rzeszowskich. Tam m.in. w Brzostku (gmina Brzostek) miał miejsce taki strajk. Te strajki w listopadzie wywołały pewnego rodzaju trzęsienie ziemi jeśli chodzi o ówczesny rząd, ale też w Solidarności było trzęsienie ziemi. Wałęsa wezwał na dywanik Kopaczewskiego, ówczesnego przewodniczącego Solidarności robotniczej rzeszowskiej i nakazał mu po prostu wpłynięcie na to, żeby te strajki gminne i te gminy były uwolnione od chłopów. Należy podkreślić, że wtedy był stary system Rad Narodowych; urząd gminy był najmniejszą jednostką państwową, nie tak jak to istnieje dzisiaj w myśl nowej ustawy o samorządzie terytorialnym (powiatach czy województwach samorządowych). Wtedy był państwową jednostką administracyjną. Wobec czego władza centralna uznała, że ich władza została zaatakowana od dołu. Przełożenie było, tak jak mówię, przez Wałęsę na Kopaczewskiego, Kopaczewski z kolei wezwał ówczesnego przewodniczącego Solidarności RI, Jana Kułaję, który w towarzystwie ówczesnego wiceprzewodniczącego

Komisji ds. Porozumień Ustrzycko - Rzeszowskich, Józefa Ślisza i w mojej skromnej osobie, mieliśmy ugasić strajki na terenie rzeszowskiego. Efekt był taki, że chłopcy oczywiście [tego] nie zaakceptowali. Był to pierwszy w ogóle otwarty bunt przeciwko przewodniczącemu Kułajowi. Nie zaakceptowali gwarancji tego, że Związek zrealizuje te postulaty z Porozumień Ustrzycko- Rzeszowskich, które na dole nie są realizowane. Jednakowoż w listopadzie doszło do zaprzestania tych strajków. Natomiast zostały [one] przeniesione na teren województwa tarnowskiego. Następnie, tuż przed samym stanem wojennym, czyli na początku grudnia, rozpoczął się strajk w Olkuszu, w którym Komisja Zakładowa tamtejszych zakładów przemysłowych w Olkuszu, razem z lokalnymi strukturami Solidarności RI podjęła już wspólną akcję strajkową i, chcąc to podkreślić, ponieważ było to już praktyczne przygotowanie się do stanu wojennego. Oczywiście nikt wtedy nie wiedział, że to się będzie tak nazywało, ale to wisiało w powietrzu. Kto nawet wie, czy ówczesne władze centralne nie zostały sprowokowane tymi strajkami gminnymi, [tym] że tutaj mobilizacja na tzw. dołach związkowych Związku Solidarności RI, zwłaszcza w południowej Polsce, jest bardzo mocna. Myśmy wtedy jako władze Związku utworzyli taką nieformalną strukturę czyli Komisję Koordynacyjną NSZZ RI Solidarność Polski Południowej. Ta Komisja Koordynacyjna koordynowała te sprawy, chociażby dlatego, że jak [strajki] zostały zaprzestane na terenie rzeszowskiego, to się pojawiły na terenie tarnowskiego, a jak tam już była napięta sytuacja, represyjna wręcz, żeby nie użyto wojska, bo już wtedy ZOMO było w pogotowiu, to wtedy przenieśliśmy to na teren zakładów pracy. To chyba było dobrym zjawiskiem, bo jak stan wojenny wybuchł, to w wielu miejscach ludzie ze struktur związkowych dostarczali żywność strajkującym robotnikom. No ale to już wchodzimy w fazę stanu wojennego i w związku z tym, odpowiedź na to, gdzie mieszkałem [bezpośrednio przed stanem wojennym] jest taka, że mieszkałem w pociągu albo w samochodzie. Jak sobie dobrze przypominam, co najmniej 7 dni przed ogłoszeniem stanu wojennego, to w ogóle nie spałem. Należałem do tych członków prezydium Solidarności RI, którzy działali w terenie.

Jaki był Pana stan cywilny w 81 roku?

Był wolny, nie miałem wtedy ani żony, formalnie rzecz biorąc, ani dzieci. Niemniej moją partnerką życiową była Urszula Poziomek, która też była sygnatariuszem (była i jest) Porozumienia Ustrzycko- Rzeszowskiego, a konkretnie Porozumienia Ustrzyckiego. Oboje zostaliśmy internowani już 13 grudnia. Z tym że nie byliśmy w jednym ośrodku internowania: ja byłem gdzie indziej, moja partnerka była gdzie indziej; no i pierwszą naszą wspólną myślą nie uzgodnioną albo nie uczesaną, można powiedzieć, było to, że wystąpiliśmy równocześnie o to, że chcemy zawrzeć związek małżeński w trakcie internowania, co oczywiście byłoby kolejnym skandalem. Sprawą się zajmowało MSW, które ostatecznie wyraziło zgodę, żebyśmy zawarli związek małżeński w więzieniu. Po drodze jeszcze była interwencja Międzynarodowego Czerwonego Krzyża, ponieważ mieliśmy zablokowane kontakty.

W związku z czym kontaktowaliśmy się przez MCK. A wyglądało to w ten sposób, że w stanie wojennym MCK odwiedzał poszczególne ośrodki internowania. Napotykał bardzo często na to, że zgłaszano trudności w komunikowaniu się z rodziną. Wtedy zostawiał takie formularze, które się wypełniało: z jednej strony dane, gdzie się przebywa w ośrodku odosobnienia i na drugim formularzu, połączonym ze sobą dane osoby, którą chce się powiadomić. Pisało się na odwrocie, tam była taka rubryka, co się chce przekazać. Te dwie części były całością i to szło przez Genewę. Było pewne, że ta druga osoba, która jest w drugim ośrodku odosobnienia, np. w Gołdapi (tak jak moja późniejsza żona Urszula Poziomek była internowana w Gołdapi), że dostanie [list] i to jeszcze bardzo szybko. Oczywiście niewolno tam niby było pisać o sprawach

politycznych, ale myśmy pisali równo wszystko, tak że w trakcie tego słynnego internowania, to był też jeden ze sposobów przekazywania informacji [o tym], co się dzieje w poszczególnych ośrodkach odosobnienia. W każdym razie ten pomost między Załężem, gdzie byłem internowany, a Gołdapią był przez nas. Natomiast niestety nie doszło do zawarcia związku w trakcie internowania, ponieważ najpierw wyznaczono datę na maj, ale że ten związek ma się odbyć w Załężu, czyli w moim miejscu odosobnienia, na co ja się nie zgodziłem, bo powiedziałem, że to wszystko jest na głowie postawione, że powinien być ślub u panny młodej. W związku z tym ten termin ustalono (chyba) na dzień 15 czerwca 82 (mogę się pomylić o parę dni), ale wtedy nie było możliwe, żeby mnie przewieziono do Gołdapi- bo była taka alternatywa, że dostanę przepustkę na ten ślub, ale w końcu MSW nie zgodziło się na wydanie mi przepustki i miałem być przewieziony- ale niestety nie zostałem też przewieziony na ten ślub, ponieważ wcześniej, 13 czerwca rozpoczęliśmy w Załężu dużą głódówkę. Ale ostatecznie zawarliśmy związek małżeński na wolności 28 grudnia 82. roku, ale też nielegalnie.

Wróćmy zatem do momentu zatrzymania. Proszę opowiedzieć o okolicznościach zatrzymania?

Zostałem zatrzymany bez żadnego tytułu, tak to mogę od razu powiedzieć, w Krakowie. [Jak] powiedziałem wcześniej, Związek ogłosił na terenie Polski południowej gotowość strajkową. Kontrolowałem koordynacją tej gotowości. Zajmowałem się [tym] jako przedstawiciel Komisji Koordynacyjnej NSZZ Solidarność RI Polski Południowej i jednocześnie członek prezydium całego Związku Krajowego OKZ NSZZ RI Solidarność. Utkwiło mi to bardzo dobrze w pamięci, ponieważ gdzieś do godziny 23., do 22.40 nawet, byłem w Zarządzie Regionu „Małopolski”. Na moich oczach ucięto teleksy, ucięto telefony, brak komunikacji, cisza w eterze. To nastąpiło przed 23. 12 grudnia czyli praktycznie rzecz biorąc stan wojenny nie był jeszcze wtedy ogłoszony. W tym czasie trwało posiedzenie Komisji Krajowej Solidarności pracowniczej w Gdańsku, w związku z czym została przerwana łączność z całym kierownictwem Solidarności pracowniczej w Gdańsku, gdzie się odbywały obrady. Między naszymi biurami też ta łączność była przerwana. W związku z czym, gdzieś o godzinie 23., 12 grudnia 1981, wyszedłem z Zarządu Regionu „Małopolska” i kierowałem się w kierunku dworca, żeby dojechać do Rzeszowa, gdzie był matecznik związkowy. A już było jasne, że już rozpoczęło się to, co było nazywane stanem wyjątkowym, a w końcu zostało nazwane stanem wojennym. Po drodze, idąc na dworzec PKP, była siedziba na ul. Karmelickiej, siedziba Związku Wojewódzkiego Krakowskiego, gdzie jeszcze parę godzin wcześniej byłem w celu sprawdzenia, czy tam będą pełnione dyżury całodobowe. Dwóch członków Związku [tam] nocowało i w ogóle było w pogotowiu zawsze pod telefonem itd. To było we wszystkich województwach Polski południowej u nas, w Związku RI Solidarność. Postanowiłem tam wejść. Idąc Karmelicką zobaczyłem, że światło się pali w oknie. Myślę sobie: widocznie są, ale postanowiłem wejść i zajrzeć na chwilę ojcowskim okiem co tam się dzieje. Jak już wszedłem, otwarto mi drzwi, no to już się okazało, że tam są panowie z MSW, po cywilnemu oczywiście, którzy wręcz demonstrowali broń. Pokazano mi broń, którą mogą użyć dosłownie w każdym momencie. Oczywiście nazwisko, imię; chciano wyciągnąć informacje ze mnie skąd przyjechałem. Ja już oczywiście starym zwyczajem odmówiłem składania jakichkolwiek [wyjaśnień]. Powiedziałem, że ja w ogóle nie wiem z kim mam do czynienia. No więc pokazano mi wtedy broń, powiedziano mi, że to jest jakiś pan komisarz, jakaś Służba Bezpieczeństwa, wszystko cywile byli. Ci koledzy z krakowskiego Związku siedzieli dosłownie bliźni jak ściana, nie wiedzieli w ogóle, co tam się dzieje. Skomentowano to po chwili, jak przez radio telefon skonfrontowano moje nazwisko, że „mamy tego

ptaszka najważniejszego.” Praktycznie rzecz biorąc nie miałem żadnych szans na ucieczkę i zostałem po jakimś czasie zapakowany do samochodu osobowego. Wylądowałem na Mogiłskiej. Wtedy [mieściła się tam] duża Komenda Wojewódzka. Umieszczono mnie samego w celi. Przesiedziałem tam 48 godzin. Przed upływem 48 godzin wzięto mnie i zapakowano do innego samochodu, przewieziono na inną komendę, a stamtąd już kilka osób (w sumie było nas chyba ze dwunastu) przewieziono do Tarnowa, do więzienia w Tarnowie, które znajduje się w [byłym] klasztorze (tak że strasznie to wyglądało: grube mury itd.) Oczywiście cały czas nie było mowy o żadnej decyzji o internowaniu. Tylko tyle było mówione, że jest stan wojenny. Gdzieś tam zauważałem innych kolegów, którzy gdzieś tam po korytarzu się przemykali, gdzieś tam na komendzie dostrzegłem kogoś tam ze znajomych ze Związku, nawet z władz z terenu Polski południowej, ale wiadomo było, że nie było możliwości zamienić nawet słowa. Pilnowali nas bardzo dobrze, izolowali. Pierwszymi ludźmi, z którymi się zetknąłem w Tarnowie byli ludzie z Solidarności i z opozycji krakowskiej, wśród których nie było innych rolników [oprócz mnie] (ja byłem wtedy z Bieszczad można powiedzieć),. Dostaliśmy się do takiej celi, która była chyba z XVIII wieku, sklepienia, żadnej ubikacji, kible-kociołki. Dopiero po jakimś czasie miski nam dali, oczywiście woda zimna. To były pierwsze chwile. Po paru dniach przeniesiono nas do cel normalnych, czyli z ogrzewaniem. W tych celach [poprzednich] sami musieliśmy sobie palić. Dali nam węgiel, żebyśmy sobie w tych celach sami palili w kołchożnikach. Przed świętami przeniesiono nas na cele ogólne i wtedy się okazało, że generalnie w tym Tarnowie są internowani z Krakowa i z Małopolski. Tam było zgromadzonych 120-150 internowanych. Siedzieliśmy w celach lepszej kategorii, ale bardzo dużych, po dwadzieścia parę osób. Prycze, łóżka 2-3 kondygnacyjne, jedzenie więzienne, jak to zwykle bywa. Dla mnie to nie była pierwszyna, bo już siedziałem w więzieniu, tak że ja to inaczej przyjmowałem. Jednak ludzie z Solidarności w zdecydowanej większości byli psychicznie kompletnie nieprzygotowani na to co się działo. Dowodem na to, że moje przygotowanie było inne, było to, że jak z głośnika-kukuruźnika się dowiedzieliśmy, że są śmiertelne ofiary pacyfikacji kopalni „Wujek”, bo te komunikaty podano, no to wtedy znalazłem na celę 24-osobową jednego chętnego, młodszego ode mnie, niejakiego Lecha Jeziornego z Krakowa, który zgodził się, żebyśmy zaczęli głodówkę. I tak zaczęliśmy we dwóch głodówkę w intencji tych śmiertelnych ofiar stanu wojennego, broń Boże nie w intencji w ogóle uwolnienia nas z więzienia, tylko [w intencji] tragicznych wypadków, jako protest przeciwko skutkom stanu wojennego, które były już wtedy ewidentnie negatywne. Potem się porozumieliśmy z innymi celami i tam jeszcze również trzech następnych chętnych się znalazło do tej głodówki. Tę głodówkę rozpoczęliśmy dopiero po świętach Bożego Narodzenia, bo się okazało, że przed świętami Bożego Narodzenia dotarł do nas ksiądz z kurii tarnowskiej i w pierwsze święto była odprawiona Msza, i oczywiście rzucono nam paczki świąteczne. Widać było, że to nie były paczki gdzieś z MCK czy czegośkolwiek [takiego], tylko od ludzi. Widać było, że są zbierane produkty z domu, domowe wyroby. Doszliśmy do wniosku, że jednak nie możemy przed świętami rozpocząć tej głodówki, bo Boże dary by się zmarnowały i nie po katolicku by było itd. Jakoś żeśmy dotrwali do drugiego święta, i zaraz jak się święta skończyły, dzień po świętach złożyliśmy służbie więziennej, to byli żołnierze(w moro), którzy stanowili obsługę więzienną oświadczenia o rozpoczęciu głodówki w jakiej intencji itd. Reakcja była piorunująca. Przede wszystkim zaraz po godzinie po złożeniu tych oświadczeń o rozpoczęciu głodówki przyszedł do naszej celi jakiś pułkownik. Ustawił wszystkich w szeregu, bo taki terror wprowadzano, i kazał wystąpić mnie i Lechowi Jeziornemu, bo we dwóch żeśmy tą głodówkę rozpoczęli. Bezpośrednio nas spytał czy to prawda, że złożyliśmy takie oświadczenia, i że taką głodówkę rozpoczęliśmy. Myśmy to potwierdzili, że tak, na co on stwierdził, że to jest

naruszenie zasad stanu wojennego, i że grozi nam proces o naruszenie... My parsknęliśmy śmiechem i z nami cała reszta, bo przecież nikt z nas wtedy w ogóle nie wiedział na jakiej zasadzie siedzi. Nikt nie dostał jeszcze decyzji o internowaniu i w ogóle wszystko było „na gębę” tych wojskowych, którzy byli panami sytuacji. Okazało się, że w tych sąsiednich celach [też rozpoczęli głodówkę]: w następnej celi też dwóch i w następnej jeden; w sumie pięciu. W tej następnej celi dwóch to było ojciec i syn Majdzikowie, słynni też tacy bardzo radykalni opozycjoniści z Krakowa. Ojciec Mieczysław w tej chwili już nie żyje, Ryszard żyje, i jeszcze jedna osoba, której nazwiska sobie w tej chwili nie przypominę. W pięciu tę głodówkę prowadziliśmy. Efekt był taki, że dłużej w tym Tarnowie nie byliśmy, bo w nocy z 27 na 28 grudnia okazało się, że jesteśmy przenoszeni. Odbyło się to w niezwyklej scenerii, ponieważ w środku nocy. Oczywiście wcześniej ja np. byłem uprzedzony przez więźniów normalnych, kryminalnych, bo z nimi miałem kontakt. Jak wiadomo oni zawsze wszystko wiedzieli szybciej, no i powiadomili mnie, ja ten kontakt utrzymywałem głosowy przez okna, i wiedzieliśmy że nas wywożą w nocy. Tak było.

Odbywało się to wszystko w niezwyklej scenerii, przy pochodniach, które trzymali żołnierze, [utworzyli oni] ścisły szpaler wyprowadzający nas z tego więzienia, poczym z drugiej strony za bramą były podstawione ciężarówki, 5 albo 6 ciężarówek. 120 osób wchodziło do tych tzw. klatek, oczywiście nie ogrzewanych, ale zagrzewaliśmy się śpiewem. Ten śpiew rozpoczęliśmy nim jeszcze samochody ruszyły z Tarnowa. Doszło oczywiście do awantury, bo nas chciano zagłuszać. No ale w jaki sposób nas zagłuszą, skoro nas pozamykali w tych blaszanych klatkach, a przez Tarnów przejeżdżaliśmy nocą. To się wszystko roznosiło.

Tak że te bardzo mocne środki ostrożności spełzły na niczym. Między nami wytworzyła się taka solidarność, że, mimo że nie widzieliśmy się razem, już równo umieliśmy śpiewać, pełną pierśią w dodatku. Jeden samochód intonował i tak żeśmy dojechali do Rzeszowa, rozpoznając trasę przez różne szparki. Rano 28 grudnia zostaliśmy dowiezieni do Rzeszowa, do Załęża. Tam nas porozdzielali w bardzo nowoczesnym więzieniu do 3-4-osobowych cel. W porównaniu z tym Krakowem i Tarnowem to było bardzo nowoczesne więzienie.

W jednym bloku, na jednym piętrze, na jednym oddziale. I tak żeśmy dotrwali do Nowego Roku, kiedy to znowu zainicjowaliśmy pierwszą akcję, a mianowicie jak przyjechał Biskup Ablewicz, bp tarnowski, odprawić Mszę w Nowy Rok, to żeśmy się momentalnie porozumieli i postanowiliśmy nie schodzić w ogóle z korytarza, gdzie ta Msza się odbywała, żeby nas nie pozamykano do cel, bo przecież traktowano nas jak normalnych więźniów: cele były pozamykane i jeszcze kazano nam meldować się jaki jest stan cel. Więc to był taki pierwszy bunt, który się zakończył dramatycznie, ponieważ rozciągnięto węże, no i jak siedliśmy na korytarzu już po Mszy wyjściu biskupa, no to hydrant uruchomiono z ogromną siłą wody, i większa część osób zrezygnowała z tego rodzaju protestu, i udała się do cel. Tak już później pozostało, że to Załęże było słynne przez okres co najmniej pół roku przez inicjowanie różnego rodzaju akcji protestacyjnych. I tam też po raz pierwszy w styczniu przyjechał MCK. Od tegoż czasu, od pierwszej wizyt MCK odbywały się te korespondencje między ośrodkami, między ośrodkiem w Załężu, a ośrodkiem w Gołdapi i korespondencja między narzeczonymi. Pamiętam, że w maju MSW oficjalnie odpisało, że się zgadzają na zawarcie tego związku małżeńskiego i wyznaczili wtedy właśnie, że to w Załężu ma się odbyć. Ja się oczywiście nie zgodziłem.

Ta pierwsza głodówka do kiedy trwała?

Pierwsza głódówka trwała gdzieś do 20 stycznia, mimo że byliśmy przewiezieni do Załęża, to we dwóch, z tym Lechem Jeziornym nie zaprzestaliśmy głódówki. Tamte osoby pozostałe zaprzestały, myśmy się znaleźli oczywiście w różnych celach, ale trzymaliśmy tę głódówkę nadal. W tym Załężu na nowo już inni ludzie podejmowali tę głódówkę. Myśmy ją wtedy trzymali do dwudziestego któregoś stycznia, czyli blisko 3 tygodnie. Skończyło się na tym, że przerwaliśmy ją w momencie, gdy przyszły następne paczki, to po pierwsze, a po drugie, kiedy zagrożono nam przymusowym karmieniem, z którego to powodu była następna afera, która została już do MCK przekazana: w ogóle na jakiej zasadzie my mamy być traktowani jako więźniowie kryminalni, to po pierwsze- mamy prawo mieć kontakty między sobą, po drugie: nie mamy prawa być karmieni przymusowo, bo wtedy stosuje się [do nas] regulamin do więzienia kryminalnego, a my nie jesteśmy więźniami kryminalnymi, tylko więźniami politycznymi. Jak na początku lutego ta wizyta z MCK się zakończyła, to w tych wnioskach, jakie wyszły z Załęża, MCK uznał nasze prawa i od tego momentu cele były już nie zamykane, tylko otwierane, tak że na każdym poziomie można się było ze sobą kontaktować. Ale wtedy się zaczęły przesłuchania, no bo zaniepokojenie tzw. służb specjalnych SB było duże [przede wszystkim] stopniem naszego zorganizowania. Wtedy po raz pierwszy zastosowano metody rozbijania internowanych, bo jednych wzywano na rozmowy, na rozmowy niezobowiązujące oczywiście, innych przez rodziny przekonywano, jeszcze innym zaczęto proponować wyjazdy za granicę. Wtedy zastosowaliśmy akcję, tzw. znowę milczenia, czyli odmowę rozmów z SB, od nie podpisywania lojalek, bo to było stopniowe: jak ktoś się zgodził na rozmowę, to potem jakieś inne profity mu proponowano, w końcu mu proponowano podpisanie lojalki albo wyjazd za granicę albo coś takiego. W ten sposób już od lutego rozpoczął się proces różnicowania internowanych i oporu internowanych, czyli już taką metodą bardziej represji psychologicznych. Ta akcja była stosowana na wszystkich trzech poziomach. Gdzieś od marca zaczęto zwozić do Załęża internowanych z całej Polski południowo-wschodniej, m.in. z Kielc, z Krosna, z Krakowa, z Katowic. W końcu się z Wrocławia dojechali do nas inni internowani, ze Strzelina, z innych ośrodków. Okazało się, że w tym Załężu zrobiono taki specjalny obóz dla najbardziej, można powiedzieć, radykalnych działaczy politycznych; bo to już nie tylko byli działacze Solidarności, ale też KPN-owcy byli internowani, nie tylko ludzie, którzy byli z Solidarności robotniczej czy rolniczej. Wtedy też już co niektórych internowano, których przyłapano na jakiejś działalności, ale nie chciano robić procesów politycznych. Wtedy spotkaliśmy się bezpośrednio z różnymi ludźmi, którzy uczestniczyli w protestach bądź strajkach na terenie Śląska i Katowic. 13 czerwca 82. roku 16 osób rozpoczęło głódówkę, której cele były polityczne, a mianowicie: zniesienie stanu wojennego, następnie uwolnienie chorych internowanych, uwolnienie kobiet. To były trzy zasadnicze postulaty, jakie były wysuwane. Oczywiście każdy poza tymi trzema dodawał sobie jeszcze inne, swoje jakie chciał, ale te trzy były wspólne. 16 osób rozpoczęło tę głódówkę. Taktycznie, żeby nie rozszyfrowano naszych zamiarów, głódówkę 13. rozpoczęło 85 osób ze wszystkich trzech oddziałów określając jej termin na 7 dni w rocznicę pół roku stanu wojennego. W tym czasie w Załężu było około 250 internowanych. W tej grupie 85 była ukryta szesnastka, która postanowiła głodować bezterminowo oczywiście z tymi postulatami politycznymi. Po 7 dniach wszyscy z tej szesnastki wysyłali indywidualne i zbiorowe zgłoszenia do MSW, do Komendy Głównej MO itd. Wtedy rozpoczęła się cała akcja rozbicia tej głódówki, a szczególnie tej szesnastki. Jednak wszyscy wytrwale dotrwali, mimo że w różnym czasie nas wywożono do szpitali. Przede wszystkim osiągnęliśmy to, że nie podejmowano decyzji o przymusowym karmieniu. Myśmy to wręcz. oświadczyli, że nie będziemy się stosować do żadnego regulaminu więziennego typu przymusowego karmienia. Spowodowała [to] interwencja kurii krakowskiej, szczególnie tego Ośrodka

Pomocy Internowanym, [której] przewodniczącym był wtedy niejaki pan Zabłocki. Interwencja spowodowała [to], że nie próbowano nas na siłę karmić, tylko w miarę jakiś oznak osłabienia, przewożono nas do Szpitala Wojewódzkiego w Rzeszowie, w trzech różnych grupach. Przy czym wśród tej szesnastki były całkowicie zakonspirowane trzy osoby, które po przewiezieniu do szpitala w Rzeszowie miały uciec z internowania, co się zresztą świetnie udało. Wśród tych trzech osób był jeden członek Komisji Krajowej, niejaki Adam Seń, drugi ze Śląska, trzeci Wojciech Bielawski, dziennikarz telewizyjny z Wrocławia. Jak nas przywieźli do tego Szpitala Wojewódzkiego w Rzeszowie, nas z tymi trzema uciekinierami, (mnie wtedy również) to był dwudziesty któryś dzień głodówki. Ja byłem na chodzie, byłem wytrenowany, można powiedzieć, mimo że tylko napoje były dopuszczalne, to jednak byłem przystosowany do głodowania- nie pod takim względem, żeby paść jak najszybciej, tylko żeby być świadomym i w kondycji i na nogach jak najdłużej. To była odmienność. Trzeba było znać przebiegi fizjologiczne, jakie procesy następują w związku z głodówką i jak to się dzieje w organizmie itd. Wśród tej szesnastki było dwóch lekarzy anestezyjologów ze Śląska i w związku z tym sami sobie robiliśmy badania. Każdy znał dokładnie swój stan zdrowia.

W Wojewódzkim Szpitalu w Rzeszowie przydzielono nam jeden oddział: Oddział Chorób Zawodowych, także zaczęło się strasznie śmiesznie i wesoło jak się tam znaleźliśmy całą tą szesnastką. To były dwie sale. Zaczęliśmy [nasz pobyt w szpitalu] od takiej akcji protestacyjnej, że wywiesiliśmy ogromny transparent z prześcieradła, a Wojewódzki Szpital był w środku miasta i na głównej ulicy. Wywieszenie transparentu skończyło się tym, że zagrożono dyrektorowi szpitala, że zostanie zwolniony, a gdy to nie pomogło, no bo takie argumenty nas absolutnie nie ruszały, to się okazało, że podjęto akcję i na terenie szpitala wjechały trzy samochody wypełnione zomowcami. Nastąpiła w szpitalu interwencja ZOMO. Na wysokości zadania stanęli wtedy lekarze, którzy z tego Oddziału Chorób Zawodowych nas ewakuowali na inne oddziały, również na kobiece. Ta interwencja ZOMO obróciła się przeciwko siłom wymiaru sprawiedliwości, ponieważ nie dość, że wyjechali z pustymi rękami (żadnego z głodujących nie złapali), to jeszcze nagłośnione to zostało powiedzmy jakimś dziwnym trafem (no nie dziwnym, bo nam wiadomym- mieliśmy już wtedy rozbudowaną sieć informacyjną) przez Wolną Europę, a jeszcze fakt tego transparentu wzmocniony został tym, że zniknęło trzech z tych głodujących. Afera była na cztery fajerki. Okazało się, że sprawą zajmuje się Kiszczak i MSW i Ministerstwo Zdrowia. Próbowano nas przenieść do Szpitala MSW, żeby tam skuteczniej nas izolować. Mimo że byliśmy internowani już czuliśmy się jak wolni ludzie. W gruncie rzeczy te wszystkie decyzje o internowaniu, które mieliśmy już wtedy, to były takie iluzoryczne. Ilość kurierów, różnego rodzaju łączników, którzy odbierali od nas codzienne komunikaty, które szły przez Wolną Europę i ukazywały się w różnych podziemnych gazetkach była wtedy niezliczona. Traktowano to wtedy jako pierwszą w Polsce tzw. głodówkę irlandzką, bo wszyscyśmy głodowali bezterminowo. Niemniej jednak z tej szesnastki ludzie zaczęli się wykruszać. [To] bo było kontrolowane przez nas badaniami. Jak już ktoś był osłabiony, to [zapadała] wspólna decyzja, że kończy. Do krytycznego momentu miesięcznej głodówki dotrwało ośmiu, do przewiezienia nas do Krakowa do Kliniki Kardiologii. W wyniku interwencji kardynała Macharskiego i Ministerstwa Zdrowia, którego ministrem był niejaki pan Szałachowski, no i oczywiście decyzji MSW i Kiszczaka, zgodzono się na mediację Kościoła. W imieniu kardynała Macharskiego przyjechał bliski współpracownik kardiologa, pana Artura Króla, który kierował Kliniką Kardiologii w Krakowie, i druga osoba- psycholog-psychiatra, który jak się okazało był działaczem podziemia krakowskiego. Wtedy zaproponowano nam przewiezienie helikopterem (nie tych ośmiu, tylko pięciu osób), na co myśmy się nie zgodzili, bo uważaliśmy, że jest to zupełnie niepotrzebne. Biorąc pod uwagę doświadczenia historyczne, nie wiedząc, gdzie mogą

nas wywieźć tym helikopterem, woleliśmy być transportowani samochodem. Skorzystaliśmy z pomocy i mediacji kardynała Macharskiego, i dwoma samochodami przewieziono nas z Rzeszowa do Krakowa. Tu już życzeniem władz duchownych i kardynała Macharskiego było to, żeby zaprzestać tej głodówki, która przekroczyła już wtedy 40 dni. Jednak w dalszym ciągu pozostawały jeszcze dwie z tych pięciu osób. Ja dotrwałem do 48 dni. W 48 dniu przerwałem głodówkę. Badania były prowadzone nadal, oczywiście doszły badania kardiologiczne w Krakowie. Można powiedzieć [,że] ciekawe [to] były zjawisko, to była najdłuższa moja głodówka. Ona się skończyła 30 lipca. W międzyczasie zwolniono moją żonę jako kobietę, bo 22 lipca zwolniono wszystkie kobiety. Zakończono internowanie kobiet. Ten postulat został spełniony. Jak utworzyliśmy całą centralę informacyjną w szpitalu u tego doktora Króla, to służyły [do nas] informacje od innych ośrodków odosobnienia, że są zwalniani chorzy internowani, bo sami żeśmy wszystko kontrolowali. 30. oficjalnie wydaliśmy komunikaty, które we wszystkich kościołach były ogłoszone i w Wolnej Europie, o zakończeniu głodówki, w związku z tym że spełnione zostały postulaty. W prawdzie stan wojenny nie został odwołany, no bo takiego oficjalnego komunikatu nie było, ale wystarczyło to, że zwolniono wszystkie kobiety internowane i zwolniono i zwalniano chorych internowanych, co zresztą służba zdrowia Krakowa i całej Małopolski wyraziła różnymi listami protestacyjnymi. Oni się przyłączyli do naszych postulatów. Były robione listy do ministra Szałachowskiego, [w których] pracownicy służby zdrowia i tej kliniki, później innych szpitali krakowskich, i w ogóle coraz szerzej Małopolski, i rzeszowskich, i spod Podkarpacia podpisywali się (pracownicy, pielęgniarki, lekarze w ogóle cały personel), żeby te rygory stanu wojennego zostały złagodzone. No i zostały. Cała akcja tej tzw. głodówki irlandzkiej, która jednak nie zakończyła się śmiercią nikogo, została bardzo dokładnie opisana, łącznie ze wszystkimi komunikatami, jakie wydawaliśmy wtedy, przez pana Zabłockiego, i taka książka została wydana w Krakowie. Połowę tej książki zajmują wszystkie relacje i dokumenty związane z tą głodówką. Dostałem decyzję o zwolnieniu z internowania tydzień po mojej małżonce, a ona została zwolniona 22 lipca, ja decyzję o zwolnieniu z internowania dostałem 23 lipca. Ona przerwała głodówkę – równocześnie w Gołdapi kobiety też głodowały od 13 lipca, my od 13 czerwca, a ona miesiąc później (oczywiście moja żona, która nie była jeszcze w dalszym ciągu moją żoną; ja już nie mogłem jechać na ten ślub), tam chyba ze 12 kobiet w tych samych intencjach, w tych samych żądaniach rozpoczęły głodówkę. One po tygodniu były zwalniane, czyli dokładnie od 20 lipca- 21 i 22 lipca wszystkie kobiety zwolniono, niemniej tam też się ta głodówka rozpoczęła w obozie internowanych w Gołdapi. Moja małżonka głodowała też tydzień, niemniej na jej możliwości tydzień to się okazała pestka, w związku z czym od razu przyjechała do Krakowa. Stała się od razu łącznikiem, który jeździł po innych szpitalach, koordynował zbieranie podpisów itd. Ja dostałem [zwolnienie] z datą 19 lipca, ale nie przyjąłem tego zwolnienia i głodowałem nadal. Dostałem to zwolnienie jeszcze w Rzeszowie, w Załężu. Myśmy wtedy nie przyjmowali tego. W związku z tym, że ta nasza głodówka dla tych pięciu osób, które były przewiezione do Krakowa trwała ponad 40 dni, to nas po prostu nie mogli zostawić na ulicy, bo w dalszym ciągu byliśmy w gestii nie tylko służby zdrowia i tych mediatorów kardynała Macharskiego, ale w dalszym ciągu rozciągała się nad nami opieka lekarska państwowa, ponieważ nie wychodzi się z takiej głodówki w ciągu dwóch, trzech dni. To można 2-3 dni czy tam w ciągu tygodnia wyjść z takiej głodówki do dziesięciu dni, ale już przy głodówce powyżej 40 dni, to trzeba jeszcze przynajmniej pozostawać od dwóch do trzech tygodni w gestii służby zdrowia, ponieważ wszystkie procesy w organizmie muszą stopniowo, systematycznie w taki sam sposób być przywracane, łącznie oczywiście z jedzeniem. Dla ciekawości mogę powiedzieć, że apetyt rośnie w tempie piorunującym, a trzeba go ograniczać, bo nie można się najadać, tylko trzeba małe

ilości zjadać, począwszy od kleików, różnych soków wzmacniających, odżywek, później dopiero bułeczki kawałek, potem dopiero tłuszcz, potem jakiś ziemniaczek dopiero, a mięso to het het, dopiero gdzieś tam dwa tygodnie później. A apetyt rośnie w tempie piorunującym. Człowiek by zjadł, jak to się mówi, stół z nogami. Dla mnie na przykład, to wychodzenie z głodówki jest dużo gorsze niż wchodzenie w głodówkę. Po mniej więcej 21 dniach, bo to wiąże się [z tym,] jakiej [kto] jest tuszy, jaki jest fizyczny stan danej osoby, która głoduje, ale przy przeciętnie normalnej, w miarę zdrowej osobie, która nie ma nadwagi, to po 21 dniach nie ma żadnego łaknienia, nie czuje się żadnego głodu, nic kompletnie. Człowiek chodzi jak pershing. Wtedy się zaczyna rozpadanie tzw. chorych komórek w organizmie. Natomiast siły witalne nie wiążą się z pokarmem. A wszystkie procesy tego głodu fizycznego, który się przez jakiś czas odczuwa, [to są] tzw. omamy węchowe, potem omamy słuchowe, tzn. człowiek czuje np. zapach jedzenia albo słyszy, że ktoś tam łyżką o talerz uderza. Ale po 40 dniach jest pełen spokój. Trzeba uważać, i ja przeżyłem te 8 dni do 48 dni, bo stan psychiczny jest taki, że człowiek popada wtedy w taką nieprawidłowość, że ten stan przechodzi w błogość, że wtedy nie posiada się już możliwości podjęcia decyzji, czyli rozpoczęcia całego procesu jedzenia. To jest nieprawda, że ci Irlandczycy, którzy głodowali, że umierali w jakiś cierpieniach czy bólach. Śmierć głodowa jest śmiercią przyjemną.

Kiedy Pan został zwolniony z internowania?

Formalnie zostałem zwolniony 30-go, kiedy zostałem zwolniony ze szpitala, z kliniki w Krakowie, natomiast formalną decyzję dostałem z datą 18 albo 19 lipca. Już wtedy miałem formalną decyzję o internowaniu, którą otrzymałem chyba w kwietniu, czy w marcu, 3 miesiące od tych wszystkich działań, które miały na celu zapuszkowanie, po prostu uwięzienie.

Czy po uwolnieniu prowadził Pan nadal działalność opozycyjną?

Tak. Ja przede wszystkim już w trakcie siedzenia w internowaniu, jeszcze przed rozpoczęciem tych głodówek, otrzymałem propozycję wejścia w skład kierownictwa Ogólnopolskiego Komitetu Oporu Rolników, organizacji, która praktycznie jeszcze przed moim wyjściem była zamysłem, ogłoszonym zamysłem, który ogłosił niejaki Józef Teliga, w tej chwili już nieżyjący, w swoim czasie kapitan Armii Krajowej, który pełnił funkcję sekretarza prezydium OKZ NSZZ RI Solidarność. On w Ustrzykach był, ale nie był w Komitecie Strajkowym, ani w Ogólnopolskim Komitecie. On tam był, ale nie był inicjatorem Strajku Ustrzyckiego ani Rzeszowskiego. Wtedy już był Józef Teliga członkiem założycielem Solidarności Wiejskiej, ale wracamy do okresu przed stanem wojennym. Wtedy przewodniczącym Solidarności Wiejskiej, był niejaki Zdzisław Ostatek (NSZZ Solidarność Wiejska). Dopiero po Strajkach Ustrzycko-Rzeszowskich NSZZ Solidarność Wiejska powstała w 80 roku. Później powstała Solidarność Chłopska i Stowarzyszenie Rolników Indywidualnych Gabriela Janowskiego. Na czele Solidarności Chłopskiej stał Roman Bartoszcze. W wyniku Strajków Ustrzycko-Rzeszowskich, a formalnie rzecz biorąc w wyniku Zjazdu Zjednoczeniowego w Poznaniu, Kułaj został przewodniczącym Związku. A do tego czasu były trzy Związki.

O tym już mówiliśmy, wróćmy do powstającej organizacji...

Józef Teliga nie został internowany, ukrywał się cały czas i w maju 82 roku powołał Ogólnopolski Komitet Oporu Rolników. Wolna Europa w czerwcu, na przełomie maja i czerwca wyemitowała duży wywiad z Józefem Teligą. Mnie było wiadomym, że poza Józefem Teligą w tym przedsięwzięciu nikt inny dotychczas nie uczestniczył, ponieważ on się ukrywa i po prostu nikt tej infrastruktury nie był w stanie zorganizować.

Tak że [jeszcze] przed rozpoczęciem głodówki otrzymałem taką propozycję od Józefa Teligi przez osoby kurierów. Wychodząc na zewnątrz, na początku sierpnia ze szpitala już miałem przygotowany cały plan związany z zejściem do podziemia. Kiedy taką propozycję otrzymałem, to wiedziałem, że po prostu nie będę mógł normalnie funkcjonować, ponieważ byłem rejestrowany i znany, a zasady zwalniania z internowania były takie, że powinienem się zarejestrować w swoim stałym miejscu zamieszkania, czyli konkretnie tam, gdzie pozostawiłem cały inwentarz, czyli w Lutowiskach. Do tej całej sytuacji stanu wojennego muszę dodać, jaki los spotkał mój inwentarz. Otóż inwentarz próbowano zlicytować. Tam ludzie w górach, w Bieszczadach, a szczególnie, nie będę ukrywał i tu podkreślę, że ludzie pochodzenia ukraińskiego, którzy mnie znali, nie dopuścili [do licytacji], mimo że formalnie byłem w trakcie internowania. Dwukrotnie ogłaszano przetargi na mój inwentarz. Za pierwszym razem do tego przetargu w ogóle nie doszło, natomiast za drugim razem ludzie zorganizowali bojkot tej licytacji, nie tyle przetargu, co licytacji, ogłoszonej w gminie przez ówczesnego naczelnika o nazwisku Trybuła. Oczywiście wynikało to z nakazu służb, żeby po prostu zlicytować mój majątek w postaci inwentarza. Ogromną rolę, muszę tu przyznać, w zorganizowaniu tego środowiska i w tym oporze, żeby do tej licytacji nie doszło za drugim razem, tu już w maju, w trakcie internowania czyli 82 roku odegrała niejaka Zofia Komiedowa, która w tym czasie mieszkała w Bieszczadach, żona śp. Wojciecha Komedy, z którą byłem zaprzyjaźniony, i która miała bardzo otwarty stosunek do całej opozycji antykomunistycznej, jak to bywało u artystów. Miała bardzo duże poważanie u ludności pochodzenia ukraińskiego. Tak że jej w gruncie rzeczy mogę zawdzięczać, [to] że zmobilizowała tamtejsze bieszczadzkie środowisko, które stawilo się na drugi przetarg i faktycznie nie dopuściło nikogo do przetargu. Tak że przetarg ten się nie odbył. Ja oczywiście o tym wszystkim byłem informowany, ale dopiero po długim czasie. Przed rozpoczęciem głodówki już o tym wiedziałem, że taka jest sytuacja, że nim zostanę zwolniony, to chodzi o to, żeby podciąć moje możliwości w ogóle powrotu w Bieszczady. Zresztą to była już druga akcja, trzecia przepraszam, bo pierwszą przeprowadzono w 75, drugą w 77, co się zakończyło aresztem, a tu było trzecie tego typu podejście, żebym już nie miał gdzie wracać i do czego. To się oczywiście nie udało. Opiekę nad inwentarzem posiadał formalnie jeden z gospodarzy z Dwernika i moja małżonka, już jako żona. Po zawarciu związku małżeńskiego, ten inwentarz odebrała i formalnie nim się zajmowała. Ja natomiast funkcjonowałem jako członek kierownictwa ścisłego, jak to Teliga nazywał, centralnego, czyli jako jego zastępca.

Na czym polegała ta działalność?

Na tym, że po pierwsze się spotkaliśmy. 15 sierpnia doszło do spotkania siedmiu osób w Krakowie, u księdza, ówczesnego proboszcza, śp. Adolfa Chojnackiego, na którym formalnie powołano Komitet. Dotychczas było to tylko ogłaszane i wychodziły różne oświadczenia podpisywane przez Józefa Teligę, ale nie było grupy-zespołu, który by ze sobą współdziałał. Zresztą spotkanie to zorganizował nie Józef Teliga, on był na tym spotkaniu, a zorganizował Józef Baran. To Józef Baran przejął na siebie odpowiedzialność wydawania pisma „Solidarność Rolników”, a ja przejąłem obowiązki organizacyjne, znaczy odpowiadałem za organizację i w późniejszym już czasie za program. Określiliśmy główne cele, że jest to organizacja o charakterze politycznym, która będzie działać na rzecz odzyskania niepodległości przez Polskę, czyli za cel obierała sobie obalenie obecnego, istniejącego systemu władzy komunistycznej. To było 15 sierpnia i ja już się ukrywałem. Oczywiście również do podziemia, jak to się popularnie nazywało, zeszła moja małżonka, czyli przestaliśmy już mieszkać w Bieszczadach.

Czy można jeszcze krótko wrócić do momentu zawarcia związku małżeńskiego?

To nastąpiło 28 grudnia. Związek został zawarty nieformalnie, tzn. była tylko dyspensa ks. Bp Tokarczuka jako tylko związek sakramentalny w Krasiczynie przez księdza Bartmińskiego, który tam do dzisiaj mieszka (już nie jest proboszczem, jest prałatem, przeszedł na emeryturę) i w obecności świadków czyli dwa dni po świętach. Świadcami tego związku sakramentalnego był Marek Kuchciński, obecny wiceprezes, zastępca Jarosława Kaczyńskiego i Jerzy Mularek z Przemyśla, który akurat nie jest politykiem z górnej półki. Ks. Biskup musiał udzielić dyspensy, ponieważ moją macierzystą parafią, była parafia w Lutowiskach, natomiast parafią macierzystą małżonki, czyli Urszuli Poziomek była parafia warszawska. Formalnie wszystko stało się zadość jeśli chodzi o stronę zawarcia tego związku, a mianowicie ja musiałem tutaj z Kórnika przywieźć kościelną metrykę urodzenia, a żona z Warszawy, [o] co oczywiście sami nie musieliśmy się starać, bo ktoś tam to załatwiał. Wiadomo, że tak już się odbywało, można powiedzieć półlegalnie.

Wróćmy do działalności nowopowstałego komitetu: na czym polegała Pana działalność, do kiedy ta działalność trwała?

To jest chyba istotne, ponieważ pierwszym znaczącym działaniem było wydanie właśnie pierwszego numeru „Solidarności Rolników”. Nastąpiło to we wrześniu 82 roku. Mimo że Józef Baran podjął się odpowiedzialności za wydawanie tego pisma, jednak pierwszą redakcją tego pisma stanowiło pięć osób: ja, moja małżonka (która nie była jeszcze wtedy małżonką- to był wrzesień, a związek zawarliśmy formalnie dopiero w grudniu) i dwie siostry, przyjaciółki, znajome Józefa Barana z Krakowa, a mianowicie Lucyna i ...to drugie imię mi wypadło, Lubańskie. To był pierwszy, pięcioosobowy skład redakcji „Solidarności Rolników”. Pierwszy numer zawierał całą homilię ks. Biskupa Tokarczuka wygłoszoną na pierwszych dożynkach w dniu drugiego września 82 roku w Częstochowie. Oczywiście byliśmy tam [i] nagrywaliśmy [to]. Byliśmy również zaproszeni na spotkanie z działaczami zainicjowane przez ks. Biskupa Tokarczuka i przez prof. Stelmachowskiego, które zostało zorganizowane w klasztorze [paulinów] po Mszy. Niemniej bardzo byliśmy, mówię tutaj o Józefie Telidze, o Józefie Baranie i o mnie, dyskretnie nastawieni, żeby uważać i nic nie mówić. Przewidywaliśmy, że tam będą podsłuchy, co zresztą okazało się później w różnych raportach. To wszystko, co było mówione odnośnie podjęcia działań w kierunku zorganizowania Duszpasterstwa Rolników na Jasnej Górze po Mszy św. dożynkowej było ściśle nagrywane i cały Komitet Centralny, łącznie oczywiście z Jaruzelskim, od razu na stół dostawał raporty. Zostały odtajnione już te raporty: my tam w każdym razie nie widzimy w tych raportach, ale tylko dlatego, że ostrożność nam nakazywała, żeby nie łączyć oficjalnych spotkań z działalnością konspiracyjną. Przewidywaliśmy, że tak wspaniała homilia, jaka tam została wygłoszona po prostu nie zostanie nigdzie opublikowana, i tak się stało. Jediną publikacją był pierwszy numer „Solidarności Rolników”. Ten pierwszy numer ukazał się w niedużym nakładzie, około 50 egzemplarzy, z tego względu, że nie mieliśmy jeszcze żadnej maszyny drukarskiej tylko zostało wyklepane na ramce, czyli starym sposobem. Później już następne numery, które wychodziły co miesiąc, były drukowane na powielaczu, na powielaczu zaznaczam, m.in. w drukarni, którą prowadził Piotr Chlebowicz w Gdowie, to jest pod Krakowem, ze swoim ojcem zresztą. W ramach porozumienia prasowego „Solidarność Zwycięży” oni nam to wydawali, jako że też się uważali za członków naszej organizacji, tak że nie odbywało się to na żadnej zasadzie płatności, czy czegoś, tylko wzajemnej usługi. Ta drukarnia funkcjonowała konkretnie w Zagórzanach, gmina Gdów pod Krakowem. Tak wyszły pierwsze cztery numery, wychodziły co miesiąc, czyli wrzesień, październik, listopad i grudzień. Redakcja się spotykała w Krakowie, oczywiście w sposób tajny i konspiracyjny. Również wtedy

drugim mocnym elementem działania [OKOR-u] była kwestia powołania pierwszego Duszpasterstwa Rolników, czyli jakby w następstwie tej homilii i tego spotkania na Jasnej Górze, mimo że myśmy formalnie w nim nie brali udziału, to jednak właśnie OKOR zdecydował o tym, żeby zakładać z marszu Duszpasterstwo Rolników, gdyż nikt inny nie odważy się tego robić, a przecież nie możemy liczyć, że księża będą inicjować Duszpasterstwo Rolników. Do pierwszego formalnego spotkania Duszpasterstwa Rolników doszło w Krasiczynie na początku grudnia 82 roku, a mianowicie 7 i 8 grudnia. To spotkanie było przewidziane w ogóle na cztery dni, przepraszam na 8., 9., 10., 11. i 12. Niemniej musiało się skończyć po dwóch dniach, ponieważ akcja służb specjalnych, wtedy SB i ZOMO, była piorunująca, i to, że nikogo wtedy nie pozamykali, to tylko był wynik zabezpieczenia całej sytuacji i mediacji, jaką podjął ks. Biskup Tokarczuk. Tak się ciekawie złożyło, że to pierwsze spotkanie Duszpasterstwa Rolników w Krasiczynie odbywało się jakby równolegle z posiedzeniem Episkopatu, na którym zapadła decyzja o tym, że Duszpasterstwo Rolników zostanie formalnie powołane. Myśmy sporządzili taki list z podpisami, 45 [uczestników] w Krasiczynie podpisało ten list. Ten list został przez biskupa Tokarczuka, po zabezpieczeniu, że nie zostaliśmy aresztowani, zawieszony do Episkopatu i jest to, można powiedzieć, bezpośredni dowód tego, że to pierwsze spotkanie tam zostało zorganizowane. Myśmy oczywiście nie zaznaczali, że to OKOR organizuje w tym momencie to pierwsze Duszpasterstwo Rolników. Tam również jest podpis mój i mojej późniejszej żony. Wystosowany też został telegram z odpowiednią treścią do Ojca Świętego i innych wiele działań było podjętych. Teraz pytanie w ogóle najciekawsze: jacy ludzie się tam znaleźli? Znalazło się tam 45 osób z pół Polski, chociaż najdalej były wysunięte osoby z rejonu Mazowsza i z regionu częstochowskiego, ze starego lubelskiego, krakowskiego, no i oczywiście z całego Podkarpacia; czyli dość duży zakres ludzi. Jak się potem okazało wśród tych, którzy tam się znaleźli, z 45 był jeden agent o pseudonimie „Adam”, który praktycznie rzecz biorąc później został agentem, którego przyłapano na tzw. wolnym handlu ziemniakami, i wiedząc, że sobie lubi wypić, został agentem i już po tych rekolekcjach złożył wyjaśnienia, które znalazły się w dokumentach ks. Sadłowskiego. Ks. Czesław Sadłowski ze Zbroszy Dużej był pierwszym, można powiedzieć, rekolekcjonistą na tym Duszpasterstwie Rolników w Krasiczynie, no i od tego czasu zaczęły się tam regularne spotkania, i dalej były przenoszone te spotkania duszpasterskie. Jeszcze w styczniu odbyło się spotkanie w Krakowie, chociaż tam nie powstało duszpasterstwo, ale to było spotkanie już dużo szersze, spotkanie OKOR-u, które jednak zostało też rozwiązane szybciej niż przewidywaliśmy, ponieważ okazało się, że w kościele św. Józefa (spotkanie to odbywało się w podziemiach) jest mocna obstawa. Chodziło o to, żeby się ewakuować w nocy, żeby Józef Teliga nie został aresztowany, co zresztą [później] nastąpiło. Szerokie spotkanie o charakterze duszpasterskim zostało zorganizowane miesiąc później w Czernej pod Krakowem, u ojców karmelitów, a właściwie u sióstr karmelitanek, co zresztą w pewien sposób uchroniło nas przed aresztowaniem, ponieważ po rozpoczęciu tego spotkania duszpasterskiego, które również prowadził ks. Czesław Sadłowski, a było tam obecnych 96 osób z całego kraju, ze wszystkich regionów i województw, zostało w nocy otoczone przez, no bo w lutym wieczór szybko zapada, przez siły ZOMO w postaci, nie wiem dziesięciu albo dwunastu gazików ze szperaczami. Wszystko się odbywało w takiej scenerii bardzo filmowej, bo to na wzgórzu, po alejkach krążyły te uzbrojone gaziki z tymi szperaczami i wszystkie oświetlały ten budynek licząc chyba na panikę, i że ludzie będą stamtąd uciekali. Był to zaznaczam budynek sióstr karmelitanek, nie karmelitów, bo klasztor karmelitów jest na wzgórzu. Tak gdzieś około 23. cała akcja ustała, związku z czym po 23. już pierwsi zaczęli wyjeżdżać. Oczywiście obstawy żadnej w nocy nie było, tak że dopiero na następnym dniu obstawiono całą okolicę, [tak] że część wyjeżdżających tam ludzi

zarejestrowano. Po czym się okazało, że było to przedmiotem ogromnej akcji ze strony MSW, po pierwsze ukierunkowanej na Kościół katolicki. Zaszantażowano po prostu ks. Kardynała Macharskiego, że jeśli się będą jakiegokolwiek tego rodzaju spotkania odbywać na terenie kościelnym, to nie dojdzie do wizyty Ojca Świętego, która miała się odbyć w czerwcu 83 roku w Polsce i już była zapowiedziana. Po drugie, że wszczęto dochodzenie w sprawie organizatorów. Oczywiście to dochodzenie nie wiadomo kiedy się zakończyło, ale formalnie nie znaleziono organizatorów, tzn. w żaden sposób ich nie zidentyfikowano; po trzecie na ten temat po jakimś czasie ukazały się różnego rodzaju materiały i wszelkiego rodzaju komunikaty. One zostały odtajnione- uznano to jako pierwsze spotkanie, znaczy takie ogólnopolskie spotkanie OKOR-u. I od tego momentu zaczęto już przygotowywać akcję likwidacji tej organizacji. Powołano zespół, jak się potem okazało, zespół pod kryptonimem „Gryzonie”. Taki kryptonim nosiła akcja ukierunkowana na likwidację OKOR-u, a przynajmniej osób działających. Podjęto już działania wojewódzkie. W skład tego zespołu wchodziło 11 osób, wśród tych 11 osób był niejaki Leszek Pękala z Rzeszowa, który później się okazał jednym z morderców ks. Jerzego Popiełuszki. Zaznaczam, że to był 83 rok, luty. Te informacje, które podają wynikiły później już z dokumentów IPN-u, z różnych odtajnionych dokumentów itd. Wszystkie te dokumenty nie są przecież do dnia dzisiejszego ujawnione, ale część już jest, m.in. wiele jest raportów z tych akurat rekolekcji w Czernej. Stamtąd też został wystosowany list skierowany do Sejmu, do władz, itd., w sprawie więźniów politycznych, który to list był kolportowany. Już w terenie były zbierane podpisy przez tych ludzi, którzy byli na rekolekcjach jako przyczynę do rozszerzenia działalności, bo jak wiadomo przecież organizacji się nie buduje na sucho, tylko na jakimś motywie, a zawsze motyw obrony ludzi uwięzionych jest bardzo dobrym motywem do rozszerzania tej działalności. Oczywiście te rekolekcje odbiły się też szerokim echem w Wolnej Europie, co też było przyczyną ogromnego niepokoju ze strony MSW i powołania tej grupy specjalnej. Niemniej grupa specjalna „Gryzonie” została powołana dopiero 20 października 83 roku, formalnie po stanie wojennym, jak wynika z tajnych rozporządzeń. Podpisane zostało to rozporządzenie przez generała Płatka.

A do tego czasu spotkały Was jakieś represje, próby rozbicia OKOR-u?

Tak. Te represje nie dotyczyły Józefa Teligi i mnie, ponieważ Józef Teliga oficjalnie podpisywał swoim nazwiskiem, ukrywał się w dalszym ciągu, no a ja oczywiście nie podpisywałem żadnych oświadczeń, no ale byłem odpowiedzialny za stronę organizacyjną i się ukrywałem po prostu, tak że nas te represje nie dotyczyły. Niemniej, tak jak mówię, w wyniku tych rekolekcji w Czernej, już rozpoczęto wtedy działania wojewódzkie, czyli te osoby, które zarejestrowano, że mogły być w Czernej albo były gdzieś tam spisane itd., już zaczęto wzywać na różnego rodzaju przesłuchania, czyli formalnie OKOR zaczął być inwigilowany jeszcze przed powołaniem grupy „Gryzonie”. Można przypuszczać, że grupa „Gryzonie” powołano dopiero w momencie, kiedy się MSW zorientowało, że tą drogą, czyli drogą przesłuchań ludzi nie wiele wskórają, żeby tę organizację rozszyfrować albo zablokować jej działalność. Przyznam, że rzeczywiście, ponieważ już wtedy ukazały się też raporty, że główne osoby, które kierują tą organizacją, a określono to wtedy na Józefa Teligę i mnie, się ukrywają. Natomiast nie potrafiono jeszcze wtedy określić kto wydaje pismo. Józef Baran, można powiedzieć, był nie zidentyfikowany. W gruncie rzeczy zidentyfikowano go i starano się go aresztować dopiero w 83 roku, jak my już zostaliśmy aresztowani. Właśnie w wyniku zarządzenia akcji „Gryzonie” i zebrania dużo większego materiału niż dotychczas, namierzono przede wszystkim struktury i ludzi ukrywających Józefa Teligę w Warszawie, i ludzi współpracujących. Przygotowano pułapkę w miejscu, gdzie doszło do spotkania 12 grudnia. Wtedy odbyła się akcja o charakterze ogólnopolskim. W sumie

od 12 grudnia 83 roku do 31 grudnia zatrzymano, bądź aresztowano, rewizje przeprowadzono, przesłuchano – 66 osób w całym kraju mniej lub bardziej trafnie ich lokalizując jako działaczy i członków OKOR-u. Natomiast 12 grudnia aresztowano siedem osób pod zarzutami kierowania OKOR-em. Dopiero po trzech miesiącach procesu okazało się, że z tych siedmiu osób aresztowanych tylko trzy są faktycznie członkami kierownictwa, ale nie trzyosobowego. Bo uznano wtedy za kierownictwo Józefa Teligę, Antoninę Komorowską i mnie, gdy tymczasem Antonina Komorowska, można powiedzieć była asystentką, łączniczką Józefa Teligi. Oczywiście stała się członkiem kierownictwa po wyjściu z więzienia, co miało miejsce w 84 roku w maju, ale też w wyniku takiej sytuacji, że Józef Baran się wyłączył w tym czasie, bo już nie wrócił do działalności, ukrywał się przez jakiś czas, po czym wyjechał za granicę. Nie chcę tutaj dywagacji prowadzić na jakiej zasadzie wyjechał za granicę, no bo skoro wyjechał, to musiał paszport dostać, a skoro były u niego i w otoczeniu jego ludzi w Krakowie i u niego w domu rewizje, to musiał być wciągnięty na listę ludzi działających w OKOR. No jak to się stało, że później wyjechał za granicę w 84 roku, na ten temat nie chcę dywagować.

W jaki sposób doszło do Pańskiego zatrzymania i aresztowania?

To było drugie aresztowanie stanu wojennego. 12 grudnia 1983 roku Józef Teliga wyznaczył spotkanie kierownictwa w Warszawie, wobec czego przybyłem do Warszawy z moją małżonką. Zawsze miałem taki zwyczaj, że moi ludzie obserwowali dane miejsce, dane mieszkanie, czy czasami nie jest obstawione. Opieraliśmy ([ja i Teliga]) się na innych ludziach. Obstawiony był Teliga. Akcji „Gryzonie”, którą powołano 20 listopada [została] przeprowadzona. W zasadzie zarządzenie takiej akcji operacyjnej miało na celu aresztowanie, bo nie jest możliwe, żeby od 20 listopada do 12 grudnia rozpracowano całą organizację, m.in. to, że będzie spotkanie 12. Jak twierdził Józef Teliga, jeden z jego współpracowników był, jak się potem okazało, współpracownikiem i on zdradził ten termin, ale też zdradził miejsce na Koszykowej w Warszawie, adresu nie pamiętam dokładnie. W każdym bądź razie ja sam poszedłem na to spotkanie, i mimo że wcześniejsza obserwacja tego mieszkania wskazywała, że nic się tam nie dzieje, to jednak okazało się, że ta akcja jest zarządzona, i spenetrowano wszystkie mieszkania, łącznie z tym mieszkaniem. Do tego mieszkania Józef Teliga już nie dotarł, dotarła tylko Służba Bezpieczeństwa. W trakcie tego spotkania w mieszkaniu nie było właścicieli, natomiast był już jeden z przedstawicieli OKOR-u z województwa białostockiego. Tam naszym przedstawicielem był niejaki Jan Beszka- Borowski, niemniej on wtedy nie mógł przyjechać i przysłał swego łącznika na to spotkanie. I aresztowano tego łącznika. On się nazywał Piekut, ja go pierwszy raz wtedy widziałem. Dwa dni byłem przesłuchiwany, nagabywany do zeznań, łącznie z różnymi rodzajami chwytów, m.in. takimi, że Józef Teliga już złożył zeznania, i że powiedział, że ja jestem jego zastępcą, i że w zasadzie nic innego mi nie pozostaje jak tylko się do tego przyznać, no i oczywiście że wtedy zostanie to potraktowane jako akt wyjątkowej łaski i może na święta wyjdę na wolność. Moje doświadczenia więzienne już były takie, że nie wątpiłem, że tutaj nie będzie tak to przebiegało i systematycznie odmawiałem zeznań. Żadne moje zeznania się tam nie znalazły. Jak się okazało, sprawą zajmował się i rozpracowywał ze strony prokuratury słynny zespół pani prokurator Bardonowej. Prokurator okręgowa wojewódzka, pani Jackowska, wręczyła mi nakaz aresztowania. Ja go też nie podpisywałem. Nie miałem zwyczaju podpisywać żadnych tego typu dokumentów. Zostałem umieszczony w areszcie MSW na Mokotowie i tam się rozpoczęła ta cała historia. Oczywiście już nie jadłem, no bo rozpocząłem głodówkę zaraz od momentu zatrzymania. Trzymałem ją aż do skutku, czyli do zwolnienia. Zwolniony zostałem po 42 dniach w wyniku tej głodówki. Niemniej miała ona bardzo dramatyczny charakter, najbardziej dramatyczny z moich

głodówek, ponieważ doszło wtedy faktycznie do zagrożenia życia, ponieważ karmiono mnie przez blisko 10 dni, codziennie i uszkodzono mi przełyk. Po prostu na siłę byłem karmiony sondą. Jak tę głodówkę prowadziłem, jak mnie karmiono, to siedziałem z dwoma kryminalnymi więźniami, którzy mieli bardzo wysokie wyroki i też głodowali, ale oni to robili, sami nie ukrywali, dla sportu, tzn. zawsze trochę im zdrowia ubędzie w wyniku takiej głodówki i wcześniej mogą dostać warunkowe zwolnienie. [Cela, w której siedziałem] to była tzw. „tygrysówka”. Miała podwójne zabezpieczenie, czyli oprócz drzwi metalowych była dodatkowa siatka z otworem na podawanie jedzenia, chociaż nie widzieć dlaczego, bo tam przecież nikt nie jadł w ogóle, kto był w tej celi. Warunki były dramatyczne: betonowa podłoga, przeciekał zlew, trzy barłogi, żelazne łóżka (w takich celach nie stawia się piętrowych łóżek). Stan sanitarny całkowicie fatalny. W rzeczywistości uszkodzony został mi przełyk, ponieważ podczas jednego z karmień, (wlewano tę substancję do żołądka, i w związku z tym, że mój organizm odmawiał przyjęcia tej substancji, która się nazywała karma, i mimo że tę sondę miałem prowadzoną do żołądka, to odruch wymiotny miałem tak silny, że wymiotowałem po prostu to wszystko. Obsługa tego więzienia mokatowskiego w postaci lekarza, który się nazywał Kaczorowski i pielęgniarki, szczególnie jednej takiej pielęgniarki, która do dzisiaj jako żywo mi się kojarzy w ogóle z taką osobą, z kątem można powiedzieć, kobietą-kątem, taki mam obraz kobiety-kata, no to jest właśnie ta pielęgniarka. Przy pomocy zazwyczaj dwóch albo trzech klawiszy wchodziło do celi, to cała procedura była, wypraszali tych kryminalnych więźniów, że oni nie byli świadkami i zabierali się za karmienie mojej osoby, czyli sadzano mnie na stołku żelaznym pod ścianą, jeden mnie trzymał za włosy, tak żebym głowę miał odchyloną do tyłu, drugi trzymał mnie za jedną rękę, trzeci za drugą do ściany, krzyżowali mnie na siedząco na tym stołku, no i wtedy sonda. Oczywiście przed sondą był jeszcze rozwieracz, to jest takie urządzenie specjalne, które później spowodowało ubytki w uzębieniu, ponieważ przy mocnym uzębieniu jak rozwieracz się stosuje, to się uszkadza zęby, narusza strukturę itd. Dokonywano tego wprowadzenia tej sondy, wlewano tam ilość tego płynu i się okazywało, że mimo iż to miałem w żołądku, to wymiotowałem. Oczywiście nie wymiotowałem tak, żeby nikogo nie obrzygać, wręcz przeciwnie. No więc nie było to dla tej całej ekipy zbyt przyjemne, ale z obrzydzeniem bo z obrzydzeniem, ale to robili. W końcu po tygodniu karmienia czułem już stan zapalny: gorączkę niesamowitą i to, że puchnę. Mimo że po tygodniu to się okazało, że już puchnie mi przełyk i wszystko inne, to jednak z ogromną determinacją dokonywano tego karmienia właśnie w taki sposób, gdzie mi wprowadzano sondę już w opuchnięte, można powiedzieć, gardło, co oczywiście po następnych paru dniach, dokładnie 12 dni mnie w ten sposób karmiono, czyli po pięciu dniach ten obrzęk był już tak mocny, że po prostu zemdlałem. Trudno mi powiedzieć czy z bólu, czy nie z bólu, w każdym bądź razie spadłem z tego stołka i tak mnie zostawiono. Obudzili mnie ci więźniowie kryminalni i sami byli już zszokowani w ogóle sytuacją. Nawet mnie namawiali, żebym przerwał, że mnie wykończą. Nie przerwałem tej głodówki i przeżyłem coś w rodzaju nawiedzenia Matki Boskiej, i nie przerwałem. Nie chcę na ten temat się rozwodzić, ale to było decydujące doświadczenie religijne, chociaż zawsze byłem wierzący, niemniej jeśli chodzi o praktykę religijną, to nie byłem aż takim człowiekiem gorliwym, ale od tego czasu stałem się, można powiedzieć, praktykującym, gorliwym i wierzącym. Uważam, że to nawiedzenie mogę traktować jako przeżycie i uratowanie mi życia, ponieważ, jak się okazało, ci więźniowie kryminalni (właśnie ci najmniejsi), w nocy postanowili jednak (wiedzieli ode mnie, że ja nie przerwę tej głodówki) zrobić coś, żeby mnie uratować. Uważali, że po prostu mnie wykończą, że mam taki stan zapalny, że przy osłabionym organizmie lada chwila mogę umrzeć.

Stąd wiem jak to nastąpiło, taka dygresja dzisiejsza, w wypadku śmierci tego Rumuna, z tym że jemu uszkodzono płuca przy przymusowym karmieniu, czyli musiał stawiać opór, przebito mu przełyk i uszkodzono płuca, ponieważ u mnie podobna sytuacja nastąpiła z uszkodzeniem przełyku. Przy przymusowym karmieniu dochodzi do sytuacji wydelikacenia i wszelka jakakolwiek brutalność jest niewskazana, a tzw. karmienie przymusowe jest samą z siebie torturą niezwykle brutalną. Bo to nie chodzi o to jak ta sonda tam jest wprowadzana, oczywiście można wprowadzać bez pomocy rozwieracza, a takie doświadczenie już przeszedłem, a mianowicie wprowadza się tę sondę przez nos. Wtedy jest mniejsze niebezpieczeństwo uszkodzenia przełyku, ale z kolei następuje już nieodwracalny proces naruszenia węzłów chłonnych, zarówno nosowych, łzowych jak i wszelkich innych. Są to zjawiska niby niezauważalne, ale ja np. jak jem ostre rzeczy, to od razu następuje taka reakcja, która jest nienormalną reakcją, że nagle zaczyna człowiekowi wszystko łzawić. Ja już to mówię jako pewnego rodzaju skutek, ale nigdzie tego, żadne badania lekarskie tego nie stwierdzą jako następstwo tamtych działań. Niemniej wtedy ci więźniowie kryminalni zaznaczam, podjęli interwencję. Mianowicie zrobili to w taki sposób, że wspięli się do góry (była wysoka cela), wykręcili żarówkę, spowodowali, że ona przestała świecić. Wstrząsnęli po prostu tą żarówką i ona przestała świecić, i automatycznie już był to powód do interwencji. Ponieważ w nocy kontrola jest bardzo częsta, no i jak na takiej specjalnej celi nie świeci światło, to musi w nocy wejść „atanda”, czyli nie tylko ten jeden z drugim, który wkręca żarówkę, ale cała obstawa, tzw. „atanda”, pięciu, sześciu chłopca. Coś się może wtedy stać, i tak się stało. W trakcie jak zapalali tę żarówkę, to ci kryminalni powiedzieli, że ja umieram. Poinstruowali mnie, mówiąc: „Chłopie, jak nie będziesz srał i sikał pod siebie...”, ale czym tu srać, wiadomo, że nie ma czym; oni byli mądrzy, bo oni udawali głodówkę, a inni kryminalni przemycali chleb na przykład i wpięprzali na okrągło. Z kolei piło się, no więc sikanie. Więc ja w tym barłogu to chyba jak Łazarz wyglądałem, zapuchnięty. „Atanda” się rzeczywiście przeraziła i sprowadzono lekarza. Wtedy się sprowadza lekarza nie tego więziennego, Kaczorowskiego, tylko się sprowadza ze szpitala więziennego, a tam są, jak to mówiono, bardziej rozzarnięci i bardziej niezależni. Pamiętam wtedy taka lekarka, nie lekarz wtedy przyszedł i zobaczył mnie i tylko mnie przerzucił na brzuch, uderzył mnie po nerkach i mówi: „Chłopie, wykończysz się!”. Nie minęło dwie godziny tej nocy, ściągnięto nosze, wyniesiono mnie na noszach do oddziału w szpitalu. Tam nie było miejsc, położono mnie na innym materacu, takim barłogu. Rano zaczęto pobierać krew i niebyli w stanie już pobrać krwi. Ciśnienie było już tak niskie, że z żył szła piana, jak ściągali, to nie mogli dosłownie krwi ściągnąć. Już miałem niskie bardzo ciśnienie, jak się okazało, poniżej pięćdziesięciu, ale jeszcze czułem się dobrze. Tam byłem w sumie jeden dzień. Zdecydowano o wywiezieniu mnie w celu przeprowadzenia zabiegu operacyjnego, czyli przecięcia ropnia podżuchwowego, jak to nazwano. Wywieziono mnie w obstawie do szpitala na..., za Wisłę do takiego szpitala, zaraz za mostem tam, tym Śląsko-Dąbrowskim, zapomniałem tej ulicy, na noszach, tam mnie przewieziono. Pamiętam taki epizod, utkwiał mi taki obraz na całe życie, jak niesiono mnie na tych noszach. Lekarka powiedziała, że lekarz obsługuje innego pacjenta, „proszę go tutaj położyć na noszach”. Poczynam usłyszałem, usłyszałem tylko, żeby wyszli ci z obstawy, tajniacy, nie klawisze broń Boże. A oni powiedzieli, że nie, oni muszą mieć mnie na oku.

To oczywiście humorystyczne już było. W podtekście tam było, że ja mogę uciec. Przyznam, że dużo się nie pomylili, bo rzeczywiście miałem takie myśli, ale jednak się powstrzymałem. Trafiłem na bardzo dobrego lekarza, który zrobił tzw. wgląd. Jak się nade mną nachylił i [mnie] zobaczył, kazał mi otworzyć usta itd., to ja w tym czasie powiedziałem, że jestem więźniem politycznym. Oczywiście jak asystentka pytała, to oni [tajniacy] powiedzieli, że to kryminalny, ale lekarz już wiedział. Zrobił taki wpis, że jest

zagrożenie dla życia i on nie może tego tu wykonać w tym szpitalu, i że kieruje mnie do szpitala na Ochocie. Na Kaliskiej był duży szpital. Tam mnie zaraz przewieziono. Meldunki były przez telefon. Tam jeszcze lepiej trafiłem, bo, jak się okazało, tam była cała baza opozycji lekarskiej. Tam pracowała niejaka pani Kuratowska Zofia i tam ja już byłem osobą znaną. Niestety nie przeprowadzono żadnej operacji i stwierdzono, że muszę zostać w tym szpitalu. Konsultowano się przez jakiś czas, w końcu zgodzono się na to, że oni mogą ten zabieg przeprowadzić w tym szpitalu tylko w warunkach, kiedy ja będę zwolniony, bo jest zagrożenie dla życia, tu już kto inny pisał taką diagnozę. W związku z tym zabrano mnie na te nosze, zawieziono na Mokotów i następnego dnia rano na noszach zwolniono, przewieziono mnie do tego samego szpitala już na oddział, na chirurgię szczękową. To był 20 stycznia 84 roku. Uchylenie tej sankcji dawała mi inna pani prokurator, nie Jackowska z tego zespołu Bardonowej. Ja oczywiście nie wiedziałem wtedy w ogóle, że to jest ten zespół Bardonowej. Dopiero później się dowiedziałem z akt, z adnotacji, [na temat] wszystkich poleceń do tych prokuratorów, którzy wydawali te decyzje. Ale przecież ja akt nie widziałem do tego czasu. Jak się okazało tych akt do dzisiaj jest 15 tomów. W tych aktach Związku znajdują się ciągle interwencje nie tylko pani prokurator Bardonowej, która jest odpowiedzialna za to śledztwo, ale też jest wiele pism, notatek z Naczelnej Prokuratury Wojskowej, żeby im akta dać do wglądu, ponieważ tam równolegle w Naczelnej Prokuraturze Wojskowej jest prowadzone śledztwo. Było prowadzone rzeczywiście z racji Teligi i z racji tego, że w naszych strukturach kolportowano dość szeroko niejaki pismo „Reduta”, które wychodziło dla oficerów wojska, dla wojska w ogóle.

W trakcie tego aresztowania w grudniu, na jednym z mieszkań Teligi, nie na tym, gdzie mnie aresztowano, gdzie indziej, trafiono na dość duży zasób tych pism „Reduta”. Później, jak się okazało, Teliga nie tyle sygnął, co potwierdził, że tak, oczywiście, że my w swojej działalności, w programie OKOR-u mamy też dywersję w wojsku, co oczywiście też było rozpisane na odpowiednich schematach organizacyjnych. Ja miałem to do siebie, że mimo iż byłem odpowiedzialny za organizację, ale schematów żadnych nie robiłem, natomiast Teliga jak się rodził, to robił takie schematy, jak ta organizacja powinna działać, po czym było dostosowywanie rzeczywistości do schematu, tzn. Teliga opowiadał swoje, w ogóle nie wiedząc w zdecydowanej większości o tym, gdzie są nasze struktury. Poznałem te schematy później dopiero z akt sprawy. One wpadły oczywiście przy jego aresztowaniu. Skąd się wzięły te pozostałe cztery osoby, które też uznane zostały za kierownictwo? A mianowicie wzięły się stąd, że była to ekipa drukarzy i wydawców pisma „CDN”. Tak się ciekawie złożyło, że [gdy] Teliga się ukrywał, przebywał od czasu do czasu w mieszkaniu na ulicy Białobrzeskiej w Warszawie, gdzie piętro wyżej była drukarnia „CDN”. Tam też, w tej drukarni, (to nie był przypadek) drukowało się drugie pismo, a właściwie pierwsze; nazywało się to: „Pismo Centralne OKOR Żywią i Bronią”, które wydawał Teliga. Ja wydawałem, jak wiadomo, no nie ja, ale OKOR, wydawaliśmy nie „Pismo Centralne”, tylko pismo „Solidarność Rolników”, którego wyszło, Bogu dzięki, 38 numerów. Przez 5 lat to wychodziło, i nigdy nie było żadnej wpadki. I teraz najciekawsze z tego, dlaczego o tym mówię? Ponieważ ja zostałem oskarżony w tym procesie, w którym siedziałem z Teligą i z Antoniną Komorowską, o kierowanie OKOR-em i wydawanie i redagowanie „Żywią i Bronią”, a tymczasem „Solidarność Rolników” spokojnie wychodziła sobie dalej, bo robiła to moja małżonka, Urszula Poziomek, która знаła wszystkie, można powiedzieć, kontakty, wszystkie możliwe, łącznie z redakcyjnymi., Ponieważ ja siedziałem, Józef Baran się ukrywał, dziewczyny, dwie siostry, które był członkami redakcji były po rewizjach spanikowane, numer łączny styczeń-luty robiła praktycznie sama. Tak że okazało się, że OKOR siedzi, oskarżenie jest o „Żywią i Bronią”, a tutaj działalność następuje dalej. Ja o tym już oczywiście wiedziałem, ponieważ w momencie, kiedy

znalazłem się już w tym szpitalu [jako] zwolniony, to było po 20 stycznia, to nastąpiły odwiedziny mojej małżonki, co było też niezwykle ciekawe. Nie odbywało się na tej zasadzie, że żona przychodzi do męża, który leży na łóżku śmiertelnie chory, tylko odbywało się to w warunkach konspiracyjnych, czyli moja małżonka była przewożona do tego szpitala, a mnie jakaś siostra przychodziła powiedzieć, że mam iść tam na jakiś inny oddział, do jakiejś innej sali, tam do jakiegoś innego pomieszczenia i w ten sposób się spotykałem ze swoją żoną. Obstawiony byłem niesamowicie, po prostu dzień i noc, o czym mi personel dawał do zrozumienia i oczywiście pani Zofia Kuratowska, która kierowała tym oddziałem. Ja zostałem przeniesiony z tej chirurgii szczękowej, gdzie wreszcie mi ten sączonek przebito, tu mam taki ślad. Nie zoperowano mi tego, tylko ropa mi zeszła. Po tygodniu zostałem przeniesiony z tej chirurgii szczękowej na oddział gastralologii, gdzie ordynatorem była bezpośrednio pani Zofia Kuratowska, z tym zamiarem, że miałem mieć przeprowadzone badanie jelit, ponieważ wynikło podejrzenie śmiertelnej choroby jelit. Musiałem mieć dokonywane wlewy, cuda, itd., Tam byłem dwa tygodnie. W ciągu tych dwóch tygodni już tam, na tym oddziale Kuratowskiej, to esbecy dosłownie siedzieli niemalże przy łóżku. Nic to oczywiście nie dało, ponieważ pewnego pięknego dnia okazało się, że mnie już nie ma w tym szpitalu. Po prostu zostałem wywieziony, już oczywiście jako zwolniony. To zwolnienie odbierała moja małżonka. Po prostu zorganizowana była ucieczka, żeby nie wiedzieli, gdzie mogę być i gdzie się udaję. Na początku lutego 84 roku już byłem na wolności i oczywiście nigdzie się nie zgłaszałem. Można powiedzieć, że powróciłem do swojego normalnego życia, przy czym oczywiście znowu miałem kłopoty, (zjadłbym stół z nogami) żeby z tego wszystkiego bezpiecznie wyjść, ale to już nie było trudne, to była wytrenowana sytuacja. Pierwszą przykrością jaka mnie spotkała już w lutym 84 roku była śmierć Piotra Bartoszcze. Piotr Bartoszcze, brat Romana, był naszym członkiem organizacyjnym, jeśli chodzi o Kujawsko-Pomorskie. Ja oczywiście nie zdołałem się już z nim spotkać. Następną taką dużą przykrością była w październiku śmierć ks. Popiełuszki. Z tym że w międzyczasie jeszcze zginął w tragicznych okolicznościach niejaki ojciec Honoriusz Kowalczyk, tutaj od dominikanów, który, ale to Bogu dzięki nigdy nie zostało ujawnione, był tutaj u dominikanów, można powiedzieć, naszym powiernikiem. Przychodziły tu przez dominikanów transporty na nasze konto z Francji, za pośrednictwem rodziny Andrzeja Stadnickiego, jego matka Lubomirska była we Francji i jego brat i jego siostra ożeniona tam była z Francuzem. W tym czasie przeorem dominikanów był ich krewny ojciec Rozwadowski. Stąd szły wszystkie transporty, łącznie oczywiście z pieniędzmi dla Solidarności robotniczej. Nawet Pałubicki nie wiedział skąd dostali pieniądze, a to szło wszystko naszym kanałem, łącznie z materiałami drukarskimi. I stąd, jak już tu wróciłem, to już miałem przygotowane zaplecze, i stąd również już od 85 roku funkcjonowała tutaj niedaleko na parafii w Żabnie, u księdza Zbigniewa Stępczyńskiego nasza drukarnia, która nigdy nie wpadła. Ale z tej drukarni już tylko kilka numerów „Solidarności Rolników” wyszło. Od 85 roku wyszło 12 numerów „Wielkopolskiego Informatora Ekologicznego”, a to dotyczyło wszystkich protestów związanych z budową elektrowni jądrowej w Klempiczu, do której, jak wiadomo, nie doszło i z niedopuszczeniem do składowiska odpadów radioaktywnych w systemie podziemi Międzyrzeckiego Rejonu Umocnionego, tzw. MRU, które to akcje wszystkie były tutaj przeze mnie i przez skład z Wielkopolski prowadzone. Wychodziło jeszcze trzecie pismo od momentu, kiedy tu w Żabnie było drukowane, od momentu, kiedy powołaliśmy Niezależny Ruch Ludowy, „Wieści”. Wychodziło pismo NRL jako pismo polityczne. Tak że praktycznie rzecz biorąc redakcje wszystkich tych gazet były prowadzone przeze mnie i przez moją małżonkę, Urszulę Poziomek. Oczywiście składy redakcji były już różne, m.in. w skład redakcji już w 84 i 5 roku, wchodził niejaki Leon Bujko z Warszawy, jeden ze znanych dziennikarzy, który bardzo nam pomagał w redagowaniu tekstów i w

wydawaniu całego pisma. Ten „Wielkopolski Informator Ekologiczny”- redakcja była tu z Poznania, z tego terenu, nie będę już wymieniał składów tych redakcji. „Wieści” żeśmy robili we trójkę. Natomiast siecią wydawniczą i drukarską ja się zajmowałem, i do 89 roku żadnej wpadki nie było. Oczywiście ksiądz Stępczyński Zbigniew już nie żyje, tak że mogę to ujawnić, nie dawno całkiem zmarł, natomiast są ludzie, którzy obsługiwali tę drukarnię, czyli stanowili jej zabezpieczenie, zaplecze, dowożenie, wywożenie papieru, przywożenie i odwożenie drukarzy, cała infrastruktura, a mianowicie z Żabna i z okolicznej wsi Krajkowo (leżą one tu na terenie gminy Mosina). Tego jeszcze nie zarejestrowano, dlatego chciałem to powiedzieć, że również tutaj na terenie Wielkopolski doszło do ostatniego szerokiego spotkania OKOR-u, a mianowicie w 88 roku na wiosnę, w Konarzewie u śp ks. Hartliba, który znany był z tego, że był najbliższym współpracownikiem ks. Blachnickiego, od ruchu oazowego. Tam w Konarzewie, w tym ośrodku oazowym doszło do ostatniego szerokiego spotkania, w którym uczestniczyło ponad 70 osób OKOR-u. Oczywiście to spotkanie, to była konferencja pod tytułem: „Rolnictwo ekologiczne i biodynamiczne”, to było zawsze, jak nie rekolekcje, to konferencje, itd. Z tym że to była ciekawa historia, ponieważ skądś SB i MSW też się dowiedziały o tym i z kolei tutaj zaatakowali ks. Arcybiskupa Strobę. Został zaatakowany w taki sposób, że dużo nie brakowało, żeby nie doszło do tego spotkania, ponieważ ks. Arcybiskup wydał polecenie księdzu Hartlibowi, żeby nie było tam żadnych spotkań. Ja zostałem wezwany w trybie szczególnym wieczorem, dwa dni przed rozpoczęciem, przepraszam dzień przed rozpoczęciem tej konferencji, i ksiądz Hartlib przekazał mi to, że nie będzie mogło dojść w ogóle do tej konferencji, chyba że doprowadzę do spotkania z Arcybiskupem Strobą. I doprowadziłem. Na następny dzień ksiądz Stępczyński zorganizował spotkanie z Arcybiskupem, na którym był jeszcze nasz doradca programowy profesor Sznajder z Akademii Rolniczej. Wtedy ksiądz Arcybiskup w prawdzie pogroził, a ja przeprosiłem w imieniu wszystkich, że to tak się dzieje, ale w końcu zezwolił na te rekolekcje i obstawa, która już tam otaczała całą wieś, żeby ludzi wychwytywać po prostu zniknęła. To był ostatni, można powiedzieć, taki epizod w formie spotkania. Do tego spotkania OKOR-u doszło dzięki przenikliwości księdza Hartliba i księdza Stępczyńskiego. Oni już nie żyją, także Arcybiskup Stroba nie żyje, tak że można sobie pozwolić na ujawnienie tych faktów. Natomiast wracając jeszcze do skutków tego aresztowania zarówno w 83 roku w MSW, jak i następnego w 85 roku; w 85 roku zostałem aresztowany pod zarzutem kierowania bojkotem wyborów. Zatrzymanie nastąpiło w dniu 11 października 85 roku, natomiast nakaz, znaczy postanowienie o aresztowaniu otrzymałem 13 października 85 roku, a mianowicie w dzień wyborów. To był dzień wyborów do Sejmu, oczywiście nie do kontraktowego jeszcze. To aresztowanie nastąpiło na terenie Przeworska, natomiast postanowienie o aresztowaniu wręczał mi w Przemyślu, w dniu 13 października 1985 niejaki pan Józef Piechota, który został prokuratorem krajowym i jest nim do dzisiaj, bo taki tytuł jest dozwolony. Ja natomiast w wyniku tego aresztowania, również w wyniku głodówki wylądowałem w końcu w Krakowie, skąd komisja lekarska pozwoliła mi w trybie, można powiedzieć, bardzo szybkim, też po czterdziestu kilku dniach głodówki, [opuścić areszt]. W wyniku tej sprawy prowadziłem przez 11 lat sprawę o odszkodowanie. Ona się toczyła różnie, bo najpierw w Przemyślu, potem w Rzeszowie. Tam już wcześniej byłem rok. W pierwszym wyroku przydzielono mi odszkodowanie w wysokości 1400 złotych. To był pierwszy wyrok w tej sprawie. Wyrok ten został zaskarżony. Moją apelację uznano. Doszło do drugiego procesu i w wyniku drugiego procesu już prawomocnie ten wyrok opiewał na 4400 złotych.

Od początku domagałem się odszkodowania nie tylko za niesłuszne aresztowania, ale również za utratę zdrowia i utratę majątku w Bieszczadach, który wtedy miałem w postaci zwierząt, i który po prostu zaginął, ponieważ nikt go nie zabezpieczył przy

aresztowaniu. Niemniej po 11 latach zakończyło się to wyrokiem i niestety apelację również przegrałem, tak że te 4400 złotych dotyczyło tylko zadośćuczynienia za utratę miesięcznego zarobku. Absolutnie nie uznano, żebym kiedykolwiek miał w Bieszczadach gospodarstwo i nie uznano, żebym w ogóle stracił zdrowie, mimo że, powiedzmy sobie szczerze, to już był 85 rok, czyli już byłem po doświadczeniach tych z Mokotowa, o których już tutaj opowiadałem, jak i po następnej głodówce, w której komisja lekarska szpitala więziennego na Montelupich w Krakowie zwolniła mnie w trybie pilnym zaznaczając, że występuje zagrożenie dla zdrowia i życia, i [że] mam być natychmiast zwolniony z więzienia. Oczywiście przewieziono mnie wtedy (wożono mnie na noszach wszędzie, po prostu nie chodziłem o własnych siłach) z powrotem z Krakowa do Przemyśla. W ogóle nawet do więzienia mnie nie zawożono, tylko od razu do szpitala, a po dwóch dniach dopiero dostałem wszystkie rzeczy z więzienia. Ale wszystkie sądy do dnia dzisiejszego po wielu, wielu procesach po prostu uznają, że [dziś] żadnej konsekwencji tego stanu nie ma. Teraz wracając do procesu z 83 roku: proces o odszkodowanie toczył się w Warszawie. Ja po siedmiu latach zostałem powiadomiony, po siedmiu latach, przy czym wniosek został złożony prawidłowo w terminie, czyli rok przed upływem przedawnienia. W tym procesie odszkodowawczym Józefowi Telidze przyznano w Warszawie 10 tysięcy odszkodowania i on to przyjął, no i chyba dobrze zrobił, bo chyba by nie doczekał po prostu tego odszkodowania, bo jak wiadomo zmarł w zeszłym roku. Antonina Komorowska zrezygnowała w ogóle, a mój proces został przeniesiony do Poznania. Przy tym w tym roku został wznowiony, bo był zawieszony w Poznaniu. Parę dni temu otrzymałem decyzję o tym, że mam być przebadany przez biegłych na okoliczność: jaki wpływ miało na moje zdrowie i życie aresztowanie i przebieg mojego aresztowania w 1983 roku w Warszawie. Dostałem wezwanie do Akademii Medycznej w Poznaniu na 25. [kwietnia] w celu oceny przez biegłych w ogóle z jakich dziedzin biegli mnie powinni badać. Uważam, że w Polsce system świadczenia jakichkolwiek rekompensat z [tytułu] działalności politycznej jest uwłaczający i nie przystaje do tych warunków, o jakich się dzisiaj mówi, że są na poziomie europejskim, przynajmniej od strony formalnej, bo jak wiadomo mamy traktaty popodpisywane różnego rodzaju, różnego rodzaju konwencje międzynarodowe itd. Świadczy [o tym] postępowanie odszkodowawcze, które się zakończyło w Rzeszowie, w wyniku którego przyznano mi 4400 złotych odszkodowania [oraz] to postępowanie, które teraz się toczy już jedenasty rok [i] nic innego nie przyniesie, ponieważ system prawa w Polsce i system przeprowadzania i zasądzenia takich odszkodowań jest uzależniony w dużej mierze od podejścia do walki o niepodległość przez obecne pokolenie ludzi zatrudnionych w resorcie sprawiedliwości. Oczywiście w ogromnej większości są to ludzie, którzy uważają w ogóle, że to nie miało żadnego znaczenia, tego rodzaju walka. A po drugie uzależnione jest od różnego rodzaju biegłych, którzy też nie mają zielonego pojęcia w ogóle jak to wyglądało w tamtych latach i jakie skutki to mogło przynieść do dnia dzisiejszego. Ja nie chciałbym mówić, jakie to skutki przynosi dla życia osobistego, psychicznego, niemniej mogę powiedzieć krótko jednym zdaniem, jeśli chodzi o skutki życia rodzinnego. Otóż moja małżonka już nie wytrzymała tego rodzaju życia, będąc już tutaj -ponieważ mieliśmy trójkę dzieci, mamy do dnia dzisiejszego trzy wspaiałe córki: Marię, która ma 23 lata, Bogumiłę, która jest studentką w Warszawie, która ma w tej chwili 19 lat i Annę Antoninę, która ma szesnasty rok życia -[i] zamieszkała w Warszawie zupełnie odcinając się od jakiegokolwiek działalności politycznej, chociaż bardzo mocno w niej uczestniczyła. Niemniej dzisiaj normalnych warunkach nie jest do pogodzenia uznanie [tego], że to są jakieś wymierne skutki tamtych lat i tamtych czasów, ponieważ te skutki są i one nie ustały ani w 83 roku, ani w 85, ani nawet dzisiaj nie ustały. Ponieważ różnego rodzaju służby pozmiały nazwy: służby specjalne i te rządowe i te prezydenckie, ale są też

służby międzynarodowe. Ja mam świadomość tego i mam dowody na to, że ludzie, którzy do dzisiaj są sprawni organizacyjnie w Polsce, a nie są skłonni uznać tego obecnego systemu politycznego, jak i umów i traktatów międzynarodowych za pożyteczne dla Polski, są w dalszym ciągu inwigilowani, a dowody na to, to mam bardzo proste, chociażby w postaci kontroli telefonów komórkowych, w postaci [kontroli] internetu, jakiej jest poddawany w ostatnich czasach, tak samo jak i w postaci licznych ataków na ten dom już po przeprowadzenie się tutaj do Robakowa, czyli faktycznie po normalnym zamieszkaniu. Nastąpiło [to] w 86 roku i przynajmniej do 90 roku, czyli do czasu, kiedy zostałem radnym i członkiem władz gminy, wybrany przez ludzi, czyli przez ładnych parę lat dom ten był po prostu przedmiotem bardzo wielu, bardzo wielu zaznaczam, ingerencji ze strony służb specjalnych, nie tylko ingerencji o charakterze powiedzmy sobie prawnym, ale i bezprawnym, bo wielokrotnie wybijano tutaj szyby, wielokrotnie stworzono sytuację zagrożenia. Któregoś pięknego dnia włamano się tutaj do domu i pozostawiono na stole podpisane przez Remigiusza Kociego, oficera tutejszego wojewódzkiego Urzędu Spraw Wewnętrznych w Poznaniu, poświadczenie zabrania iluś tam pojedynczych książek i maszyny do pisania. To był 88 rok i w pół roku czasu doszło tutaj do takiej precedensowej sprawy, oczywiście przy zaangażowaniu adwokatów tutaj w Poznaniu. Moja małżonka wygrała odszkodowanie za bezprawne zarekwirowanie maszyny, która służyła jej zarobkowo, jako narzędzie pracy. Miała zarejestrowaną w gminie działalność pod tytułem: przepisywanie na maszynie. Zwrócono tę maszynę i zwrócono wszystkie książki niezależnych wydawnictw, które były pojedyncze i nikt nie udowodnił, że były przedmiotem kolportażu. To były ewidentne, można powiedzieć, zdarzenia, ponieważ określili ludzie się pod nimi podpisywali. Nikt z tych ludzi z Poznania do dnia dzisiejszego, ze służb z tamtego okresu nie poniósł z tego tytułu żadnych konsekwencji. Nikt też nie poniósł konsekwencji ze zdarzenia w 87 roku, kiedy tu zostałem porwany, tutaj na tej ulicy w nocy, i kiedy grożono mi śmiercią, utopieniem jak Popiełuszkę, tam w sąsiedniej wsi w Borówcu. Przewieziono mnie do Kórnik na posterunek, który wtedy akurat mieścił się w urzędzie gminy, no i trzech rosnących funkcjonariuszy dosłownie pobiło mnie, nieomalże do nieprzytomności, poczym zostałem odwieziony skuty za ręce i za nogi, do Poznania, i tam osadzony w pojedynczej celi, jak zwykle, no bo wiadomo, że będę głodował. Następnego dnia, niejaki pan pułkownik Jerek, który był wtedy zastępcą szefa Wojewódzkiego Urzędu Spraw Wewnętrznych próbował mnie przesłuchiwać. Przesłuchanie miało charakter jak zwykle w moim przypadku dość śmieszny, ponieważ z jego strony w zasadzie były albo pytania albo monolog, a ja nie odpowiadałem na to nic albo po prostu się uśmiechałem i w końcu zostałem zwolniony. Dotyczyło to tych protestów tutaj na terenie Wielkopolski, które dotyczyły wtedy lokalizacji elektrowni jądrowej w Klempiczu, do której ostatecznie nie doszło, dotyczyło młodzieży, różnych młodzieżowych grup oporu społecznego, które były grupami ulotkowymi w Poznaniu. Pan pułkownik Jerek doszedł do wniosku, że to jest właśnie moje dzieło, moja zasługa, że tu na tym terenie tak się dzieje, ponieważ ja jestem ten kozak bieszczadzki, i że nikt inny na terenie poznańskiego by takiej działalności nie prowadził. Ale oczywiście nigdy nic nie udowodniono mi. Ilość interwencji i prowokacji wobec tego domu była, można powiedzieć, może nie współmierna do zagrożenia. Niemniej dopiero teraz dowiedziałem się z materiałów, które mi ujawniono z IPN-u, właśnie od 86 roku, a tym razem podpisał to zarządzenie generał Dankowski, czyli następny zastępca Kiszczaka, po Płatku i po Ciastonie, [że] byłem objęty akcją charakterze ogólnopolskim pod kryptonimem „Niezlomny”.

Wydaje mi się, że śmiało można powiedzieć, że ta Pana sytuacja, również separacja z żoną jest skutkiem działalności opozycyjnej i jest jedną z represji.

Czy tak?

Tak. Jest to separacja z mojej strony świadomie utrzymywana, bowiem ja nie chcę, i nigdy bym sobie nie wybaczył, [żeby] przenosić skutków mojej postawy, można powiedzieć, politycznej na rodzinę. Rodzina nie jest rodziną rozbitą, z tym że jest to niewątpliwie..., nie jest rodziną zwartą, jak to się mówi po katolicku, natomiast nie mieszkamy razem

i praktycznie jest to niemożliwe, ponieważ i ze strony mojej małżonki jest jakby dystans, ponieważ ona sobie zdaje sprawę dokładnie, że jest niemożliwe, żebym ja się od polityki odciął, a z mojej strony ja nie chcę przenosić po prostu skutków negatywnych na rodzinę, na dzieci w ogóle, itd., które powiem, że są bardzo zainteresowane. Wielokrotnie mam ogromny dylemat, ponieważ córki chcą uczestniczyć i pomagać w organizowaniu różnych konferencji, które organizuję, są zaznajomione w ogóle, i co ich nie poproszę zawsze bardzo mi pomagają, obojętnie czy na przykład w obsłudze internetu, czy w kompaktach. Najstarsza córka Marysia przebywa w Anglii już w tej chwili czwarty rok, gdzie kończy studia i pracuje. Ale ta średnia córka zawsze chętnie pomaga. Niemniej na przykład jak jestem w Warszawie, to nie mogę łączyć polityki i pobytu u rodziny. Muszę zdecydowanie tak sobie zaplanować czas, żeby te rzeczy rozdzielić. W innym przypadku, powiedzmy sobie szczerze, byłoby to zarzewiem jakiś problemów, konfliktów, a po co generować niepotrzebne zupełnie jakieś sytuacje. Niewątpliwie jest to wynik też z jednej strony urazy, jaką ma moja żona, która zrozumiała to już dużo wcześniej niż ja. Ja natomiast nie jestem w stanie oddzielić się od polityki i od tego co miało miejsce przez bardzo wiele lat, no i stąd nie chcąc przenosić tych skutków...

Ostatnie pytanie: jak Pan sobie dzisiaj radzi finansowo, czym się Pan dzisiaj zajmuje?

Zawsze prowadziłem jakąś niezależną działalność, tak że przez wiele lat żyłem, mimo wszystko jak nie z gospodarstwa, to z handlu produktami rolnymi. Był czas kiedy założyłem z kolegami spółkę, która handlowała zbożem, z zyskiem oczywiście, nie będę ukrywał...

A dzisiaj?

Dzisiaj prowadzę biuro doradcze, tak to się nazywa, czyli zajmuję się różnego rodzaju sprawami o charakterze administracyjnym, bo mam takie prawo. Również [zajmuje się] drobnymi sprawami sądowymi, bo też mogę występować w imieniu stowarzyszeń. Jestem członkiem zarządu „Stowarzyszenia Represjonowanych w stanie wojennym”, więc w tym momencie również mogę występować w sprawach sądowych. Radzę sobie, chociaż komfortu finansowego zbytniego nie mam, zaznaczam. Wiadomo, że w takiej sytuacji większość pieniędzy przeznaczają się na działalność polityczną, a nie na dom, rodzinę itd. Żona natomiast również ma stabilną sytuację materialną, finansową- jest nauczycielem mianowanym w liceum ogólnokształcącym w Warszawie. Chociaż mogę powiedzieć tak dla dygresji, że jak mieszkała w Robakowie, a nawet jak byłem wtedy radnym i przewodniczącym Rady Miasta i Gminy w Kórniku, to tutaj środowisko kuratorium, jeszcze wtedy nie podlegało pod gminę, została zatrudniona na etacie na rok, ale nie mogła pracować w tej szkole, tylko musiała pracować 6 km dalej, w filii tej szkoły w Robakowie, co oczywiście było też ewidentną represją, czego nie ukrywano. Natomiast później już wyjechała do Warszawy, [gdzie] jest nauczycielką biologii w liceum ogólnokształcącym.

Bardzo dziękuję za rozmowę.